



TO NIE SCENA Z F I L M U

ale zwykła rozmowa
dwojga młodych. W
towarzystwie sympa-
tycznego chłopca le-
piej robić koronkową
serwetkę. O sław-
nych koniakowskich
koronkach piszemy
na stronach 6 i 7.

Fot. „Świat” — K. Jurochowski



...WIĘC SĄSIEDZI RADA W RADĘ

MIROSLAW AZEMBSKI

Zdjęcia: W. PRAŻUCH

LATWIEJ wielbładowi przejść przez ucho igielne, niż niegodnemu przedostać się do rady gromadzkiej. Takiego przekonania nabrali po powrocie z zebrania wyborczego w gromadzie Zielona (okolice Mławy), a moje notatki, czynione na gorąco i z możliwie największą dokładnością, niechaj będą tego dowodem.

Przybyliśmy na miejsce w chwili, gdy ciemność wieczorną przecinał ostry dźwięk dzwonka. To sołtys objechał gromadę na rowerze i przy pomocy tego swoistego telefonu wzywał obywateli na zebranie. Po dokonaniu kilku akrobatycznych skoków przebrnęliśmy „pas ochronny” błota i wkroczyliśmy do budynku szkolne-

go; w sali nr 1 siedzieli już w ławkach chłopci. Połączeni w małe grupy rozprawiali hałaśliwie, niczym niesforni uczniowie przed lekcją. O czym więc była mowa? Z urywanych wypowiedzi nietrudno zmiarkować, że odbywa się coś w rodzaju „przedzebraniowego zebrania”, czyli narada nad tym, jakie nazwiska zaproponować ogółowi. Słuchajmy uważnie — naszym zdaniem walka wyborcza rozpoczęła się już teraz!

— Ja podam Błocką, musi być jakaś kobieta.

— Ją?... Gromada cię wyśmiej!

— Dlaczego? Wywiązują się z obowiązków...

— Wywiązują się? No dobrze. Każdy dzieciak wie, że Błocki ukrywał ziemię przez tyle lat. Z podanych hektarów się wywiązywał, bo reszta szła

„na gapę”. A później, po odkryciu, wywiązywał się dalej: bał się domiarów. I ona ma teraz rządzić gromadą?

Pod ciężarem argumentów oponent milknie. Pierwsza „eliminacja” przeprowadzona, nazwisko Błockiej nie padnie na zebraniu. Z lekką obawą myślimy o atmosferze niedalekich obrad: byle tylko nie doszło do awantury — temperamenty kipią tu przecież jak woda w kotłach! Już teraz głosy podniesione są do krzyku, dyskutuje się gwałtownie, nie owijając rzeczy w bawełnę. Gromada chce wybrać ludzi, którzy są tego godni, którzy nie tylko nie będą szkodzić, ale naprawdę coś zrobią.

Lecz oto sala się ucisza — wkracza prelegent, specjalny wysłannik Powiatowego Komitetu Frontu Narodowego. Zagaja dyskusję prosząc, aby chłopcy wypowiadali swoje bolączki i precy-

zowali zadania, jakie staną przed wybraną radą gromadzką. Następują pierwsze minuty ciszy, jak na wszystkich innych zebraniach na świecie. Milczenie jednak nie potrwa długo: chłopcy wprowadzili niezbyt dobrze wiedzę, co to znaczy „precyzować zadania”, ale rozumieją znaczenie słowa „bolączka”. Nie tracą z oczu tego — co już posiadają: wszakże kierownik szkoły, Piotrowicz, zdolniejszych chłopaków posyła do miasta na wyższe uczelnie. Wszakże nie ma kłopotu, gdy ktoś zachoruje, albo gdy dwu zapalczywych młodzieńców porzobią sobie głowy na zabawie — szpital powiatowy ma dosyć łóżek, a młody doktor Gogola wszystko pozaszywa i pobandażuje, wedle potrzeby. Ale w gromadzie dużo jeszcze jest do zrobienia i dlatego pęka milczenie i wypowiedzi zaczynają się sypać jak z worka, wyskakują problemy ważne i mniej ważne, wszystkie jednak do rozwiązania.

A więc Kujawa, chłop wysoki i energiczny, dziwi się, że w sklepie spółdzielczym nie można dostać chleba, podczas gdy maki i ziarna jest w bród. Dlaczego piekarnia wiejska stoi nieczynna? Dymek, elokwentny i zapalczywy, powiada, że wniosł podanie o przydział desek i od pół roku nie dostał żadnej odpowiedzi. A poza tym czy nie można by prowadzić na miejscu sklepu rzeźniczego — w gromadzie jest 700 osób i wszystkich stać na mięso... Podnosi się także staruszek siwiteńki, który zdaje się troszeczkę drzemać, i zaczyna:

— A ja w zeszłym roku poszedłem z dwoma świniakami...

— Siadaj, siadaj stary, coś ci się przyśniło.

Nie, nie, to jednak nie był sen, ale najprawdziwsza prawda. Staruszek odstawił w zeszłym roku żywca i w kasie gminnej wypłacono mu o dwieście złotych za mała. W ogóle trzeba się zająć gminną kasą: poprzedni kasjer już siedzi, jego następca również padł ofiarą pokus w brzęczącej monecie i pokutuje w kryminale, a obecnie — jak słychać — komisja wykryła nowe manko.

Zale i życzenia padają tak gęsto, że na koniec zachęcony tym wstaje nieszczęśliwiec nazwiskiem Bogacz i oświadcza, że żona mu uciekła — może ta rada, co będzie wybrana, coś na to poradzi? No, z tym sprawa trudniejsza, ale kto wie...

Skoro już nazbierało się tyle życzeń i zadań — czas zastanowić się, kto je najlepiej wykona: prelegent wzywa do podawania kandydatur. Po raz drugi w dniu dzisiejszym reflektor opinii publicznej oświetla sylwetki przyszłych radnych.

— Siński Jan — rzuca któryś z zebranych.

— Może być — mruczy gromada.

— Co to znaczy „może być” — wtrąca prelegent. Trzeba uzasadnić... Kto podał kandydata, niech go scharakteryzuje...

— Siński jest człowiek rozsądny — mówi wnioskodawca. — Chłop małorolny, zawsze chodzi i zachęca „już czas — trzeba odstawić”, sam odstawił wczorowo. Siński przechodził w życiu dobre i złe — we wszystkim można się go poradzić...

Kandydatura przechodzi. Pada nowe nazwisko:

— Marciniak.

— Który?

— Ireneusz.

— Kogo obierasz, dziecko ci będzie radzić? On ma 20 lat, u niego głowa jeszcze pusta!

— Młodzi też muszą być w radzie.

— Niedawno byłoby przestał paść, a teraz ma rządzić gromadą?





...Wstaje Kujawa, chłop wysoki i energiczny. „Dlaczego w sklepie spółdzielczym nie można dostać chleba, skoro maki i ziarna jest przecież wszędzie w bród?”

— Wszyscy pasali bydło za mleku. Chłopak jest mądry, niech powie kierownik szkoły. Pracuje w ZMP...

— Dobra, dobra... Jemu jeszcze się trzeba uczyć.

— Będzie się uczył przy starszych. Jak teraz nie zaczniesz — to kiedy?

Gromada jest niezdecydowana, podnoszą się szepty i pokątne dyskusje.

Przechyla szalę kierownik Piotrowicz, kierując pytanie do sekretarza Gminnej Organizacji Partyjnej:

— Powiedz Gacek, ile lat miałeś, kiedyś został komendantem SP?

— Dwadzieścia.

To wystarczy: każdy pamięta, że Gacek dobrym był komendantem. Kandydatura Marciniaka przeszła. Drugi natomiast ZMPowiec odpada większością głosów. Czyżby młody Puchalski prowadził się nienależycie? Nie o to chodzi: po prostu jeździ na roboty sezonowe i rzadko bywa we wsi. A niebecny — jak wiadomo — radzić nie może...

Upluwają minuty, w centrum dyskusji stają coraz nowe postacie. Z życiorysami kłopotów nie ma, albowiem wszyscy tu wszystkich znają, wszyscy o wszystkim wiedzą. Są natomiast za-

gadnienia trudniejsze do rozwikłania. Jak uniknąć kumoterstwa, jeśli, na dobrą sprawę, cała wieś składa się z trzech tylko, ale za to potężnych liczebnie rodzin? Jak oddzielić zarzuty słuszne od uraz osobistych? A dalej: ten na przykład coraz lepiej pracuje społecznie, ale też i coraz więcej pije. Tamten jest czynny i ofiarny przy wszystkich akcjach skupu, ale tak zaniedbał swoją ziemię, że trudno go nazwać wzorowym gospodarzem. Trzeci znowu dostaje piękne plony, ale przebywa na uboczu, ludzi nie lubi, życie gromady płynie poza nim...

Rzucano różne nazwiska, ale tylko dwie kandydatury nie padły z żądnych ust — Biesalskiego i Kalisza.

Zresztą ci dwaj nie przyszli nawet na zebranie. Siedzą tam gdzieś na tych swoich hektarach i — o czym mówią? Nie dowiesz się: zamknęli są w sobie, aczkolwiek uczynni, obowiązkowi i Polskę Ludową chwalecy. Jest tak, jakby ciągle na coś czekali...

Późną już nocą wybrano ostatniego, siódmego kandydata. Przybyły nazwiska: Leona Kosa, Marli Woźnowskiej, Ireny Krawczyk, Wacława Rucińskiego... Jeszcze jeden etap walki wyborczej — zakończony.

SWIAT

NASZA KRONIKA

PRZED paroma dniami stanąłem wobec trudnego, ale porywającego zadania. Trzeba było puste ściany wypełnić ludzką treścią. Ściany były czyste, całość wygodna — niemniej zadanie nie było najłatwiejsze. A chodziło o to, iż dostałem nowe mieszkanie. Ja, moje książki i moja rodzina dostaliśmy nowe mieszkanie — tak raczej należałoby to sformułować. Piękna to i trudna praca takie nowe mieszkanie wypełnić ludzką treścią, uczynić wszystko, co potrafimy, by nie było ono maszyną do mieszkania, ale prawdziwym przyjacielem człowieka, mającym swój charakter, urządzonym według potrzeb.

Tak sobie myślałem o swoim mieszkaniu i o naszej demokracji (dzięki której to mieszkanie otrzymałem). Mnie się zdaje, że ta nasza nowa, ludowa, socjalistyczna demokracja bardzo przypomina nowy, piękny, czysty, obszerny dom. Ludzie już weszli do tego domu, znają go, ale jeszcze w nim dobrze nie zamieszkali. Trochę nie doceniają jego zalet, jego nowych cech. Myślę to wszystko oczywiście w związku z całą kampanią przedwyborczą do rad narodowych i ze zbliżającymi się samymi wyborami.

Kampania ta wykazała, jak wielu ludzi czuje się gospodarzami w naszej Polsce i jak wielu jeszcze nie bardzo rozumie jej charakter. Przesady pseudodemokracji burżuazyjnej jeszcze nieraz nurtują w niejednym mózgu. No bo na przykład jedna lista kandydatów. To czy to jest naprawdę demokratyczne? W takiej Ameryce ma na przykład obywatel możliwość wyboru między dwiema listami. Ba, w Polsce przedwrześniowej, w wyborach sejmowych czy do rad miejskich mieliśmy nie dwie listy, ale często kilkadziesiąt. Ale tak się jakoś działo, że która lista odnosiła sukces (endecy, „Piast“, PPS czy sanacja), to zawsze na to samo wychodziło: wychodziło na bezrobocie, na nędzę, na głód i na dobre zarobki kapitalistów i obszarników. Szerokie masy rozmaicie głosowały na przykład w Warszawie, a kamienicznicy śrubowali komorne, eksmitowali nędzarzy, baraki na Anopolu, na Żoliborzu czy w „Polusie“ rozrastały się, liczba samobójstw z nędzy rosła, młodzież nie miała żadnych widoków pracy i życia. W tamtej „demokracji“ wszystko tak pięknie urządzono, że list jest wiele, a rezultat przeważnie taki sam. A lista, która niesie nowe życie, lista komunistyczna, wcale nie cieszy się przywilejami demokratycznymi. Wielki angielski pisarz Chesterton pokpiwał sobie z tej angielskiej, amerykańskiej i w ogóle zachodniej demokracji, pisząc: „Demokracja ma wiele zalet i jedną wadę: jest niedemokratyczna“.

NA tym właśnie polega zagadnienie: by demokrację uczynić demokratyczną. Uczynić to można tylko wtedy, gdy nie damy

się zwieść jej pozorami. Gdy zrozumimy, że demokratyczności nie mierzy się ilością list zgłoszonych do wyborów. Rzecz polega na tym, czy istnieją warunki pozwalające na to, by wyniki wyborów wypadły na korzyść, na rzecz ludu. No bo grecki źródłosłów uczy, że demokracja to znaczy — rządy ludu. Tamta demokracja jakoś zawsze tak wypadła, że jest przeciw ludowi. Nasza jedna lista wyraża jedność interesów narodu, wyraża ona pełne, demokratyczne zwycięstwo narodu. Nasze wybory są demokratyczne, bo u nas stworzono warunki, gwarantujące zwycięstwo narodu.

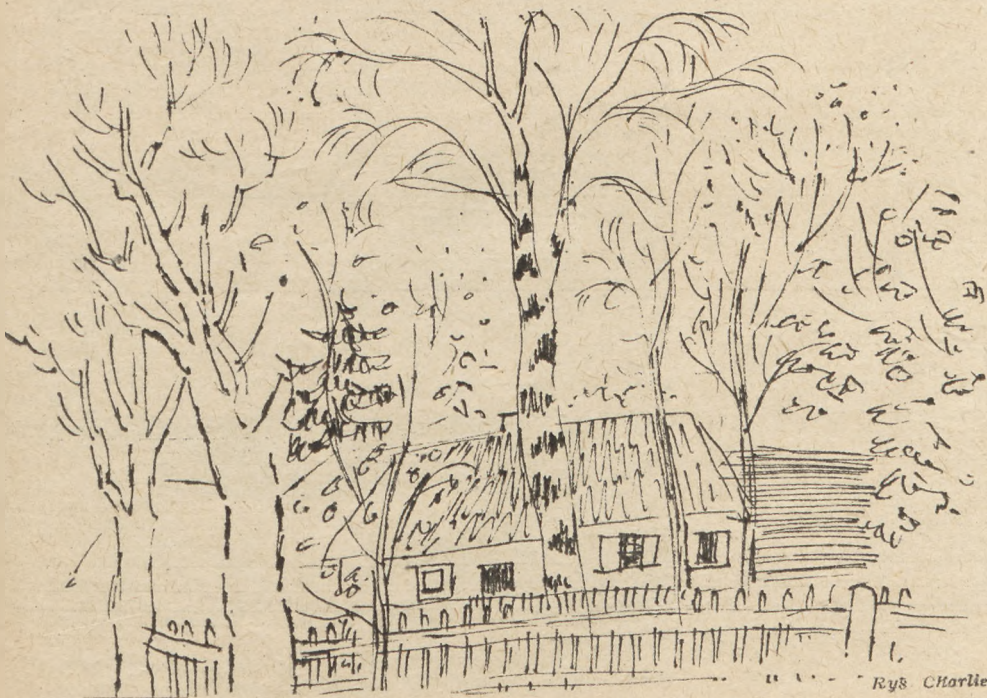
Ale jeśli zwycięstwo narodu jest pewne, to czy to oznacza, że nasz obywatel nie ma nic do roboty? Inaczej mówiąc: czy nasz obywatel może mieć wpływ na to, kto ma reprezentować naród, czy też tylko mieszkańców jego miasta, jego dzielnicy, jego powiatu, jego gromady? I w tym właśnie nie bardzo jeszcze śmiało się poruszamy. Każdy obywatel ma prawo wystąpić przeciwko zgłoszonej kandydaturze, każdy ma prawo zgłosić swoich kandydatów. Wiemy, że w toku zebrań przedwyborczych obywatele na wsi i w mieście szeroko wykorzystywali swoje uprawnienia w tej dziedzinie.

Choć nie zawsze robili to śmiało. Karteczka przynoszona w kieszeni na zebranie wiele jeszcze nabrała. Były nieraz wypadki, że lista ustalona przez władze była forsowana wśród milczenia zebranych, albo, co gorsza, przeciwko ich woli. Wiele nabrało niewłaściwy stosunek obywateli do naszej demokracji, niezrozumienie tej demokracji. Okazało się, że w świadomości wielu ludzi pokutuje jeszcze jakby feodálne przekonanie, że wszelka władza pochodzi od Boga. A jeśli tak, to władza, jak Bóg, jest nieomylna. A więc jeśli w Komitecie Frontu Narodowego ułożono listę kandydatów, to tak ma być i koniec.

TYMCZASEM nasza władza nie pochodzi od Boga, ale od ludzi, od ludu, od narodu. A jak wiadomo ludzi, jeśli są mądrzy, nie mają wcale pretensji do nieomylności i wszechwiedzy. Tak też i było w toku zebrań przedwyborczych: okazywało się czasem, że wypisujący nazwiska na kartce nie zawsze najlepiej orientowali się w ludziach, nie znali wielu znakomitych ludzi, godnych sprawowania obowiązków członków rad, wyrosłych właśnie w naszej demokracji i dzięki naszej demokracji. Zebrani — tam, gdzie rozumieli na czym polega nasza prawdziwa demokracja — śmiało korygowali karteczkowe propozycje. Nasza demokracja bowiem to nie karteczka. Nasza demokracja to ludzie.

Śmielej rozgaszczajcie się w naszej demokracji dla ludzi zbudowanej!

JAN SZELĄG





Bankier A. Harriman, b. właściciel kopalń śląskich, kandydował z ramienia Partii Demokratycznej na stanowisko gubernatora stanu Nowy Jork

HARRIMAN KOPALNIE NA ŚLĄSKU i — AMERYKAŃSKIE WYBORY

Napisał: GRZEGORZ JASZUŃSKI

SACO — to nie jest jeszcze jeden nowy blok agresywny w rodzaju NATO czy SEATO. SACO — to skrót nazwy amerykańskiego koncernu „Silesian-American Corporation”. Koncern ten w roku 1926 za cenę kilkunastu milionów dolarów przejął wszystkie kopalnie niemieckiej firmy „Giesche”, znajdujące się na polskim Śląsku. Ówczesny rząd polski nie tylko wyraził zgodę na tę transakcję, lecz nawet podarował koncernowi amerykańskiemu wszystkie zaległe podatki (samej daniny majątkowej należało się 30 milionów złotych). Afera z SACO, która w Polsce już dawno poszła w zapomnienie, niespodziewanie przypomniana została podczas ostatniej kampanii wyborczej w Stanach Zjednoczonych. Główny akcjonariusz tego koncernu, Harriman, kandydował z ramienia Partii Demokratycznej na stanowisko gubernatora stanu Nowy Jork. Jego konkurenci z Partii Republikańskiej wypomnieli mu, że tworząc SACO wypuścił obligacje na 15 milionów dolarów celem eksploatacji kopalni na Śląsku i że po upadłości SACO pozostał winien akcjonariuszom 5 milionów dolarów, choć sam grubo na tym zarobił. Bankier Harriman odpowiedział na to, że pozostał dłużny tylko 2,5 miliona

i że byłby spłacił wszystko, gdyby nie wojna i tak „nieprzewidziana okoliczność”, jak... nacjonalizacja kopalni w Polsce.

Mniejsza zresztą o to, ile milioner Harriman nie dopłacił swym wspólnikom i ile zarobił na kopalniach śląskich. Chcieliśmy jedynie przedstawić tego „demokratycznego” kandydata na gubernatora Nowego Jorku. A kim był kandydat Partii Republikańskiej? Był nim senator Ives, finansowany przez koncern Standard Oil i przez Chase National Bank, czyli przez Rockefellerów.

POŁOWA NIE GŁOSUJE

Mieszkańcy miasta i stanu Nowy Jork mieli w ten sposób do „wyboru”: głosować na milionera Harrimana czy też na kandydata milionerów Rockefellerów? Nie widząc istotnej różnicy, połowa spośród nich nie wzięła udziału w wyborach. Podobnie było w całym kraju. Na około 100 milionów uprawnionych do głosowania obywateli zaledwie 45 milionów pofatygowało się do urn wyborczych.

Kandydaci do Izby Reprezentantów lub Senatu amerykańskiego niewiele się bowiem różnią od Harrimana czy Ivesa. W odróżnieniu od innych krajów kapitalistycznych, gdzie w parlamentach zasiadają — już nie mówiąc o posłach komunistycznych — liczni przedstawiciele prawicy socjal-demokratycznej lub związków zawodowych, w Ameryce Kongres składa się wyłącznie z przedstawicieli wielkiego kapitału.

Dosadną charakterystykę składu Senatu amerykańskiego — izby wyższej i „poważniejszej” — dał przed kilku laty Harold Laski, pro-amerykański teoretyk brytyjskiej Partii Pracy. Laski pisał:

„Prawda jest niewątpliwie, że w każdym Kongresie zasiada pewna liczba senatorów, których wybór trudno wytlumaczyć, a jeszcze trudniej usprawiedliwić. Nie można zaprzeczyć, że senatorowie ze stanu Delaware reprezentują z reguły nie tyle wyborców, ile potężny koncern Du Pontów, podczas gdy senatorowie ze stanu Montana muszą jakoś ustalić modus vivendi z wielkimi monopolami między w tym stanie. Niekiedy senatorowie z Pensylwanii powinni być raczej do więzień, niż do Waszyngtonu, a niektórzy senatorowie z Kentucky lub Illinois nadawali się raczej na sceny kabaretowe...”

Dobrani w ten sposób „kongresmeni” i senatorowie występują pod szyldami Partii Republikańskiej i Partii Demokratycznej. Jaka jest między nimi różnica? Właśnie że żadna. Obie te partie bronią interesów Wall Street, która je finansuje, obie zmagają się do faszystacji w polityce wewnętrznej i do wojny w polityce zagranicznej, obie popierały agresję w Korei i obie wprost doczekają się już nie mogą Wehrmachtu.

Mając do „wyboru” tylko Republikanów czy Demokratów, obywatel amerykański coraz częściej uchyla się od wyborów. Dnia 2 listopada br. przeszło 50 milionów wyborców, czyli więcej niż połowa obywateli w wieku wyborczym, pozostało w domu.

CYRK WYBORCZY

Znając tę apatię i obojętność wyborców amerykańskich, obie partie robią co mogą, by ich zachęcić do głosowania. Metody przy tym stosowane są w „najlepszym” — właśnie amerykańskim stylu. Do obowiązków kandydatów należy tańczenie z wyborcami płci żeńskiej, całowanie dzieci, jazda na słoniach lub osiołkach (w zależności od partii), występowanie razem z roznieglizowanymi do nieprzyzwoitości „tancerkami” itd. Istotną częścią kampanii wyborczej jest obrzucanie przeciwnika błotem, zarzucanie mu korupcji, łapownictwa, nieuczciwości itd. (przeważnie obaj kandydaci mają rację...). Cały ten cyrk wyborczy hojnie opłacany jest przez koncerny z Wall Street, które z reguły asekurują się co do wyniku wyborów, finansując równocześnie kandydatów obu partii.

W bieżącym roku szala zwycięstwa przechyliła się na rzecz Partii Demokratycznej. Dopiero przed dwoma laty Partia Demokratyczna przegrała wybory, tracąc stanowisko prezydenta i większość w obu izbach Kongresu na rzecz Republikanów. W ten sposób wyborcy amerykańscy wyrazili wówczas swe niezadowolenie z rządów Trumana. Teraz z kolei niezadowolenie z rządów Eisenhowera doprowadziło Partię Republikańską do utraty większości w Izbie Reprezentantów i Senacie (tegoroczne wybory nie dotyczyły stanowiska prezydenta).

Straty Republikanów były bardzo dotkliwe. W roku 1952 uzyskali oni około 34 milionów głosów, a teraz tylko dwadzieścia kilka milionów. Nawet biorąc pod uwagę, że przy wyborach prezydenckich frekwencja z reguły jest większa, spadek ten jest bardzo znaczny, zwłaszcza że Partia Demokratyczna z otrzymanych przed dwoma laty 27 milionów głosów zdołała utrzymać przeszło 20 milionów.

POWODY NIEZADOWOLENIA

Strategowie Partii Republikańskiej jeszcze na początku bieżącego roku wyobrażali sobie, że uda im się jako główny temat kampanii wyborczej narzucić ludności nagonkę antykomunistyczną. W związku z tym reklamowany był faszysta Nr 1 — senator McCarthy, a inscenizowane przezeń „procesy czarownic” zajmowały pierwsze strony w gazetach amerykańskich. Okazało się jednak, że McCarthy całkowicie się skompromitował i Republikanie musieli zrezygnować z tego wątpliwej wartości „atutu” wyborczego. Wynik wyborów potwierdził zresztą, że prze-



Senator demokratyczny — Richard Neuberger, wielce się napracował chcąc przekrzywdzić republikanina Gordona. Wziął więc udział w konkursie na „miss piękności”.



Kandydat republikanów Karl Mundt zjadł wiele melonów, chcąc „zbliżyć się” w ten sposób do wyborców.



STALINGRAD 1942



COVENTRY 1940

ZDROWY ROZSĄDEK

AJEDNAK zdrowy rozsądek społeczeństw sprawić może niejedno. Uważa lektura gazet upoważnia nas co dzień niemal do zdecydowanej w tej materii opinii, a ostatnią na przykład podróż delegacji miasta Coventry słusznie uważać możemy za jedną z najrozsądniejszych podróży przedsięwziętych przez obywateli tego stulecia.

Zdrowy rozsądek był bowiem nie tylko siedemnastowiecznym przywilejem Anglika Milтона i Anglika Winstanley'a, który trzy wieki temu pisał w płomiennej broszurze o prawdzie i pokoju, dla których warto jest się trudzić — i o prywatnie, która „rozbija świat cały na obozy, jest wszędzie przyczyną wszystkich wojen, rozlewu krwi i waśni”. Zdrowy rozsądek nie był też wyłącznym przywilejem Anglika Tomasza Paine'a, który w sto lat później tak właśnie — „Zdrowy rozsądek” — nazwał swój głośny amerykański pamflet, dzieło wybitnie nieprzychylnie dla „zwodniczych sposobów rozumowania” i stawiające m. in. pytania tak drażliwe jak to, które w wątpliwość poddawało konieczność „pójścia w zapasy z całym światem”. Tenże wreszcie zdrowy rozsądek nie kończy bynajmniej swego użytecznego żywota na stronicach Laurence'a Sterne'a, Fieldinga i książek wspaniałej plejady angielskich pisarzy i myślicieli wieku dziewiętnastego i dwudziestego.

Czyż do dzieł mądrości narodów, z coraz większym powodzeniem decydujących o obliczu swoich czasów, nie należy bowiem również krótka depesza podana kilka dni temu przez prasę światową? Czyż wiadomość ta nie uzmysławia nam wszystkim, jak bardzo wspólna jest droga, po której zdążają mieszkańcy odległych miast — zaledwie kilkanaście lat temu bombardowanych przez „Luftwaffe” i zaledwie w dziewięć lat po zakończeniu wojny zmuszonych do przeciwstawienia się nowym próbom rozpętania zagłady i pożogi? Znać zapewne tę depeszę:

„Rada Miejska Stalingradu przyjęła propozycję Komitetu Przyjaźni między Coventry i Stalingradem oraz Rady Miejskiej miasta Coventry, aby wystosować wspólny apel do Komisji Rozbrojeniowej ONZ w sprawie zakazu bomby wodorowej, i zaprosiła przedstawicieli Coventry do Stalingradu w celu opracowania tego apelu.

„27 października przybyła do Moskwy delegacja Rady Miejskiej Coventry z Lordem-Mayorem Coventry — Johnem Fannellem na czele.

„Delegację witali na lotnisku we Wnukowie przedstawiciele Rady Miejskiej Stalingradu oraz Wszechzwiązkowego Towarzystwa Łączności Kulturalnej z Zagranicą”.

I d a l e j :

„9 listopada odbyło się u przewodniczącego stalingradzkiej rady miejskiej S. Szapurowa uroczyste podpisanie wspólnego oświadczenia dwóch miast — Stalingradu (ZSRR) i Coventry (Anglia) — do ONZ, wzywającego do zakazu produkcji i stosowania broni atomowej i wodorowej oraz do całkowitego wyeliminowania tej broni ze zbrojeń państw.

„Przy podpisywaniu oświadczenia obecni byli: ze strony angielskiej — członkowie delegacji Coventry, a ze strony radzieckiej — członkowie komitetu wykonawczego stalingradzkiej rady miejskiej, kierownicy wydziałów rady miejskiej i przedstawiciele prasy.

„Po podpisaniu oświadczenia J. Fannell i S. Szapurow wygłosili przemówienia, w których wyrazili nadzieję, że przyjaźń między narodem angielskim i narodem radzieckim będzie się nadal zacieśniała”.

Z prośbą o skomentowanie tych wiadomości zwróciliśmy się do jednego ze znanych europejskich autorów, szczególnie cenionego za swój z d r o w y r o z s ą d e k. Odpowiedział nam:

„Nie ma nic pomiędzy ludźmi, co by im było chlubniejsze a nawet użyteczniejsze niż świadomość, że wspólnie czuwają nad swym bezpieczeństwem...”

„Wojna jest w prawie publicznym najsurowszym aktem, ponieważ następstwem jej może być zniszczenie jakiegokolwiek społeczeństwa...”

„Między narodem a narodem interesy są zwykle tak rozgraniczone, że wystarczy jeno kochać sprawiedliwość, aby ją znaleźć; nie podobna jest się tu omylić...”

„Traktaty pokojowe są tak święte między ludźmi, iż wręcz zdawałoby się, że są one głosem natury”.

Następował podpis i data: Charles Montesquieu, 1721.

padli ci wszyscy kandydaci Partii Republikańskiej, których nazwiska łączono z McCarthym, jak np. ośławiony Kersten, autor ustawy o 100-milionowym funduszu na szpiegostwo i dywersję.

Tymczasem heca antykomunistyczna zawiodła, natomiast nad kampanią wyborczą zaciążyło zagadnienie bezrobocia, od którego menery obu partii chcieli początkowo odwrócić uwagę wyborców. Przeszło 5 milionów bezrobotnych i wiele milionów częściowo bezrobotnych; kryzys farmerów, którzy otrzymują coraz to mniejsze ceny za swe produkty, podczas gdy monopole sprzedają je nadal po wygórowanych cenach w mieście; nagromadzenie nie sprzedanych zapasów towarów wartości 80 miliardów dolarów jako objaw kryzysu nadprodukcji; dalszy wzrost opodatkowania ludności ze względu na potrzeby budżetów zbrojeniowych — oto najważniejsze powody niezadowolenia społeczeństwa z polityki wewnętrznej rządu Republikanów.

Rząd ten ułatwił jednocześnie dalszy wzrost zysków koncernów i monopolu z Wall Street. Minister Obrony Narodowej Wilson, który w toku kampanii wyborczej „wsławił” się porównaniem bezrobotnych do psów, konsekwentnie realizował swą zapowiedź z dnia objęcia urzędowania. „Co jest dobre dla General Motors — oświadczył wówczas Wilson — dobre jest dla Stanów Zjednoczonych”. Sens tej „maksymy” zrozumiemy, jeśli pamiętać będziemy, że sam Wilson „w cywilu” jest prezesem koncernu „General Motors” i że naczelną jego troską są zamówienia zbrojeniowe dla tegoż koncernu.

DEMAGOGIA „POKOJOWA”

Cechą charakterystyczną tegorocznej kampanii wyborczej było uwzględnienie przez kandydatów obu partii zagadnień polityki zagranicznej, które często — w wyborach amerykańskich — nie odgrywają większej roli. Tym razem kandydaci licytowali się w swej „pokojuowości”, zarzucając sobie nawzajem tendencje prowojenne. Demagogia obu partii, prze-

cież współodpowiedzialnych za politykę agresji i przygotowań wojennych, biła wszystkie znane rekordy amerykańskie. Kandydaci Partii Republikańskiej usiłovali np. zapisać na swoje konto rozejm w Korei i zawieszenie broni w Indochinach, choć oba te wydarzenia narzucone zostały republikańskiemu sekretarzowi stanu Dullesowi, który robił co tylko mógł, by do nich nie dopuścić.

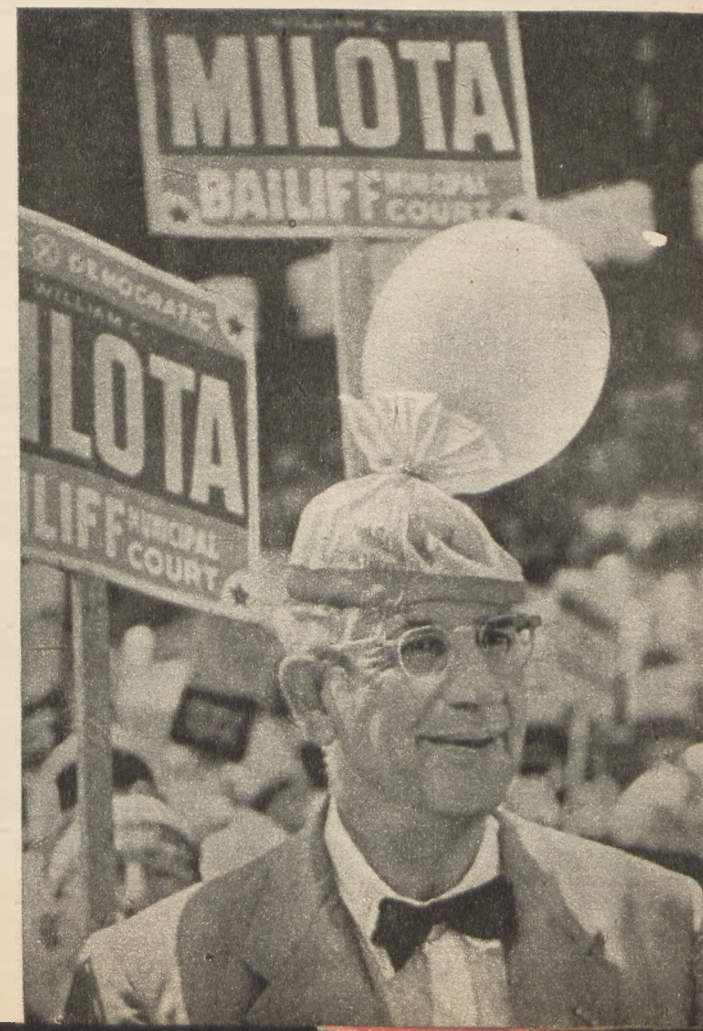
Ta demagogia „pokojuowa” świadczy o tym, że w społeczeństwie amerykańskim narasta niezadowolenie z polityki awantur i agresji, z polityki popierania Czang Kai-szeków, Li Syn-manów i Adenauera. Kandydaci obu partii musieli z tym się liczyć, i stąd ich niespodziewana deklamacja o „pokoju”.

W związku z wynikiem tegorocznych wyborów amerykańskich usłyszałem w rozmowie prywatnej takie pytanie: jak długo to jeszcze może trwać, jak długo jeszcze wyborcy amerykańscy wyrażać będą swe niezadowolenie bądź pozostając w dniu głosowania w domu, bądź przerzucając się z deszczu „demokratycznego” pod rynnę „republikańską” lub na odwrót?

Odpowiedź na to pytanie jest trudna i terminu oczywiście nikt nie potrafi określić. Łączy się to przecież z przełamaniem istniejącego systemu dwupartyjnego w Stanach Zjednoczonych, z możliwościami działania dla trzeciej partii, reprezentującej rzeczywiste interesy ludu amerykańskiego, z całokształtem zagadnień gospodarczych, międzynarodowych itd.

Lecz na marginesie tego skomplikowanego pytania warto przypomnieć, że jeszcze przed 30 laty i nawet przed 15 laty kopalnie na Śląsku należały do wspomnianego wstępnie koncernu amerykańskiego SACO, a robotników tych kopalni zmuszano podczas wyborów do głosowania na sanacyjną „jedynkę”. Dziś kopalnie te należą do narodu, a robotnicy śląscy wybierają właśnie do rad narodowych swych najlepszych przedstawicieli. Nie śniło się to z pewnością Harrimanowi, gdy za grube dolary nabywał od koncernu „Giesche” śląskie kopalnie.

Balon na głowie senatora Douglasa przyciągnąć ma uwagę zebranych: wielu wyborców jednak nie głosowało





KORONKI

Zdjęcia: K. JAROCHOWSKI

Skomplikowana koronkowa serwetka, dzieło zręcznych rąk koniakowskich góralek.

Łatwo się pomylić przy robieniu wielkiej serwety. Pomoc koleżanki usunie w porę zauważony błąd.



Proszę stać spokojnie — wołają urodziwe hafciarki. Chwila cierpliwości i „brucelik” już jest gotowy.



Milego gościa trzeba odprowadzić aż do samej bramy. A i tu trudno się rozstać, bo sąsiadka opowiada właśnie o nowym pięknym wzorze na serwetę. Czy ładnie będą wyglądały motywy stylizowanych ptaszków?





Przy śpiewie i muzyce pracuje się dużo lepiej. A kiedy kierownik zespołu artystycznego, Michał Iroszek, opowiada bajdy i gadki, robota pali się w rękach.



Gołalki z Koniakowa noszą do dziś piękne stroje ludowe. Nakryciem głowy mężatek jest koronkowy „czepiec”, podwiązany jasną chustką na „spuszc” lub „rożki”.

Koniaków znają chyba najlepiej narciarze. Ta malownicza, leżąca na wysokości ponad 700 m wioska posiada wspaniałe warunki narciarskie. Gdy zawiedzeni amatorzy zimowego sportu z pobliskiej Wisły czy Głębiec z rozpaczą patrzą na ciemne, pokryte trawą i kamieniami stoki, gdy zakopiańscy wędrować muszą w głąb Tatr — w Koniakowie puszyste zwały śniegu zapraszają do chustianii czy telemarków.

Koniaków znają również i turyści. Tędy wiedzie droga do Zwardonia, stąd podejść można na Baranią, do źródeł obu Wisetek.

Ale Koniaków to nie tylko piękna wioska, leżąca na turystycznym szlaku, ale również siedziba starej sztuki ludowej. Kultura materialna ludności Beskidu Śląskiego uboga jest w porównaniu z gamą barw i różnorodnością zdobień lub strojów Podhala, Łowickiego czy Krakowskiego, istnieje tu jednak dziedzina sztuki ludowej, której bogactwo może zaimponować każdej innej dzielnicy — jest nią koronkarstwo.

Zajrzyjmy do wnętrza chat. Kiedy zapada zmrok i zakończono już całodzienną bieganię wokół inwentarza, w jasnym kręgu lampy grupują się kobiety. Migają w rękach igły, szydelka i klocki. Białe cienkie nici wiążą się w fantastyczne kwiaty, przypominające płatki śniegu, gwiazdy, ptaszki, kółka i serduszka.

Sztuka misternego splatania nici w kunsztowne koronkowe serwety czy kołnierzyki od setek lat przechodzi w Koniakowie z matki na córkę. Pokolenia całe tworzyły wspaniałe, coraz to oryginalniejsze wzory, opracowywały nowe, lepsze sposoby wiązania. Coraz piękniejsze były beskidzkie koronki, ale też coraz trudniej było je sprzedać. Starsze koronkarki Gwarkowa czy Legierska niechętnie wspominają te czasy, kiedy bez żadnej opieki i pomocy trzeba się było starać o kupca, nieraz na próżno jeździć ze swymi wyrobami do miasta czy na jarmarki.

Dziś w Koniakowie nie ma już takich problemów. Koronkarki mogą bez przeszkód poświęcić się swojej pracy, bo sprawą dostaw nici czy transportem koronek do Stalinogrodu zajmują się specjaliści pracownicy koniakowskiej Spółdzielni Koronkarskiej. Ze zbytem nie ma też kłopotów. Serwetki szybko znikają ze sklepów CPLiA. Wysyła się je również za granicę.

Udała się ta duża serweta. Maria Legierska i Maria Kłoczek z prawdziwym zadowoleniem oglądają swe dzieło godne może nagrody. Wiele sąsiadek zostało już nagrodzonych na krajowych konkursach sztuki ludowej.



NA PODSTAWIE MARTWEJ WIZY

(2)

STEFAN ARSKI

STAWIAJĄ na wojnę, gdyż widzą w tym jedyną szansę odzyskania „raju utraconego”, który dla reszty Polaków był piekłem. Więc pojmują, że mogliby go odzyskać tylko za sprawą obcej interwencji. Przede wszystkim amerykańskiej. A to znaczy w języku realiów politycznych — w sojuszu z Bonn. Ściśle biorąc, ze zmilitaryzowanym na nowo Bonn rozporządzającym nowym Wehrmachtem. Tertium non datur — innej drogi dla nich nie ma. Więc liczbą amerykańskich bomb atomowych i zachodnio-niemieckich dywizji mierzą swe historyczne szanse.

Nie są tak głupi, by nie rozumieć, jaką ceną trzeba opłacić tę „pomoc”. Uznanie rewizjonistycznych pretensji neohitlerowskich odwetowców. Czyli zrzeczeniem się polskich Ziemi Zachodnich. W Bonn też pokładają wszystkie swe nadzieje.

Publicysta emigracyjny, Jędrzej Giertych, w broszurze pt. „List otwarty do członków i sympatyków Stronnictwa Narodowego”, wyznaje otwarcie o co chodzi:

„Chodzi o to, czy system, jaki zostanie w środkowej i wschodniej połowie Europy ustanowiony, będzie systemem niemieckim, czy nie niemieckim. Jeśli to będzie system niemiecki, to utracimy na rzecz Niemiec nie tylko Szczecin i Wrocław, lecz także zapewne i Poznań...; nasza niepodległość o ile się w granicach niedawnego „general-gubernatorstwa” w ogóle utrzyma, będzie sprowadzona do fikcji”.

Że do takich właśnie konsekwencji prowadzi polityka kolaboracji z Ameryką i Niemcami Adenauera, stwierdza również inny publicysta emigracyjny, p. Klaudiusz Hrabek, na łamach katolickiego czasopisma „Życie”.

„Jeżeli Amerykanie proponują nam udział w wojnie radiowej to trzeba również znać jej cele, tak samo jak się będziemy z nimi wybierali na wojnę prawdziwą... W każdej z nich musimy wiedzieć, o co się bijemy. Jak dotąd, dowiedzieliśmy się, że mamy się bić o zmianę granic zachodnich Polski na korzyść Niemców”.

Więc zdają sobie sprawę z istoty swej polityki, rozumieją jej konsekwencje, wiedzą, że gdyby się ich zamysły urzeczywistniły, niepodległość Polski stałaby się fikcją, a jej okrojony strzęp wszedłby jako „General-Gouvernement” do systemu spruszczonej „Mitteleuropy”. Czy istnieje inny termin na określenie tej roboty, jak tylko z d r a d a?

A przecież to właśnie — zmowa z niemieckimi odwetowcami — jest motorem całej polityki emigracyjnej reakcji w latach ostatnich. Ona leży u podstaw całej „akcji zjednoczeniowej” generała Sosnkowskiego. Ona też leży u podstaw całej działalności jego przeciwnika — Cata-Mackiewicza.

W kołach adenauerowskich te dążenia i umizgi kierowniczych ośrodków reakcyjnych emigracji polskiej znalazły przychylny oddźwięk. Rozmowy prowadzone są od kilku lat. Pp. Lipski, Cat-Mackiewicz, Hutten-Czapski, Mikołajczyk, generał Anders — to tylko część nazwisk ujawnionych uczestników tych rozmów. Emigracja polska jest w tych sprawach nader dyskretna i... trudno jej się dziwić. Ze strony bońskiej w rozmowach uczestniczył b. ambasador Dirksen. Przez czas dłuższy prowadził je znany odwetowiec zachodnio-niemiecki, Bolko Freiherr von Richthofen. Teraz jednak nastąpiły ze strony Bonn wystąpienia czynników oficjalnych.

Oto w czasie manifestacji rewizjonistów niemieckich w Hanowerze i Bochum w lipcu 1954 roku zabrał głos minister rządu Adenauera, Herr Oberlaender. Donosił o tym emigracyjny „Narodowiec” z dnia 13 lipca 1954 roku pod wielospaltowym nagłówkiem:

„WIELKIE MANIFESTACJE UCHODźCÓW NIEMIECKICH W HANOWERZE I BOCHUM ZA PROWROTEM NA POLSKIE ZIEMIE ODZYSKANE
Minister Oberlaender za „rozmowami z polskimi emigrantami”.

W tekście depeszy czytamy:

„W Bochum miało się zebrać około 50 tysięcy ludzi, a mówcą głównym był minister rządu Adenauera, Oberlaender, dawny działacz hitlerowski. Żądał on zastosowania wszelkich możliwych środków do przyłączenia Niemiec nie tylko wschodnich, ale do całego także ziem polskich.

Znamienne było przede wszystkim żądanie ministra Oberlaendera, który domagał się podjęcia rozmów z Polakami znajdującymi się na emigracji”.

„Narodowiec” z dnia 21 lipca 1954 roku informuje: „To samo oświadczenie powtórzył inny mówca niemiecki w Monachium.

Poprzednio dzienniki niemieckie, a w szczególności szwajcarska „Die Tat”, przyznawały, że istnieje plan niemiecki uznania takiego rządu polskiego na emigracji, który Niemcom zwróci polskie Ziemie Odzyskane czy też jeszcze więcej, jak tego żądali ministrowie rządu Adenauera, Seebom i Kaiser”.

Reakcyjni wodzowie emigracji polskiej gotowi są płacić niemieckim odwetowcom. Oczywiście nie ze swojej kieszeni: chcą płacić Niemcami pana Zagłoby. Polskimi ziemiami.

Jeden z najbardziej polakożerczych tygodników zachodnio-niemieckich „Der Schlesier” (nr 37 z września 1954 roku) znajduje wiele ciepłych słów dla generała Andersa, którego dążenia polityczne tak oto określa:

„Grupa generała Andersa pragnie rokowań z czynnikami niemieckimi, aby dojść z nimi do porozumienia w sprawie granicy na Odrze i Nysie...”

W jakim kierunku to porozumienie ma zmierzać, wynika jasno z wielokrotnych oświadczeń generała Andersa. Prasa i publikacje zachodnio-niemieckie ustawicznie się na nie powołują. Przede wszystkim chodzi o słynny wywiad generała Andersa, udzielony szwajcarskiemu dziennikowi „Die Tat” i opublikowany w tym piśmie w numerze z dnia 14 grudnia 1946 roku. Tytuł brzmi: „Generał Anders o Niemczech”.

W treści czytamy:

„Pytamy: „Czy pochwała Pan, Panie Generale, obecne granice Polski?” Bez wahania odpowiada on w poprawnej francuszczyźnie: „Nie, nie uważam dzisiejszego stanu rzeczy za żadne rozwiązanie. Albowiem to, co nam Rosjanie wmusili jako odszkodowanie za oderwane na wschodzie rdzenie polskie obszary, jest darem Danaów. Polska nie jest w stanie ani pod względem ludnościowym, ani gospodarczym strawić b. niemieckich obszarów aż po Odrę. Ani nie wierzymy w asymilację pozostałych tam Niemców, ani nie uważamy, by Polska była gospodarczo dość silna, by podjąć się mogła organizacji terenów, które obfitują uprawdzie w bogactwa przemysłowe i rolnicze, ale są bardzo zniszczone”.

„Jakie rozwiązanie uważa więc Pan za celowe” — brzmi następne pytanie. Generał odpowiada: „I my jesteśmy za korekturą granicy polsko-niemieckiej z roku 1939. Domagamy się więc np. przyłączenia Górnego Śląska i oczywiście Gdańska, który jest Polsce niezbędny. Ale jest rzeczą bezrozumną granicę wysuwać na zachód aż tam, gdzie się obecnie znajdują. Dlatego uważamy obecne rozwiązanie za tymczasowe i jesteśmy w tym punkcie zgodni z poglądami anglo-amerykańskimi”.

Tak to generał Anders zarzekał się polskich granic na Odrze i Nysie. Nie dziw, że nie ma ani jednego wydawnictwa odwetowego w Niemczech zachodnich, które by się nie powoływało na oświadczenie. Nb. ciekawe podobne oświadczenie „wodza” WRN-owskiego, Arciszewskiego.

Wzmyń np. antypolski pamflet Wolfganga Wagnera pt. „Die Entstehung der Oder-Neisse-Linie” (powstanie linii Odra-Nysa), wydany przez Brentano-Verlag, Stuttgart, 1953, gdzie na str. 29 czytamy:

„Premier Arciszewski, w swym oświadczeniu, złożonym jeszcze w grudniu 1944 roku, stwierdził: „Nie chcemy wysuwać naszej granicy tak daleko na zachód, aby obejmowała 8 czy 10 milionów Niemców. To znaczy, nie chcemy Wrocławia ani Szczecina”. W podobny sposób wypowiedział się jeszcze w roku 1946 generał Anders”.

Ale Anders nie ograniczył się do samych tylko oświadczeń. Jak doniósł dziennik włoski „Giornale d’Italia” z dnia 21 maja 1954 roku, generał Anders zaprosił na uroczystość obchodu dziesiątej rocznicy bitwy pod Monte Cassino przedstawicieli zachodnio-niemieckich kół wojskowych. Obecność neohitlerowców na uroczystości, poświęconej pamięci żołnierzy polskich poległych w bojach z hitlerowcami, graniczy wręcz z makabrą. „Handlarze śmierci” wystawiają na sprzedaż nie tylko żywych, ale i poległych... P. Mieroszewski na łamach paryskiej „Kultury” (nr 478 z kwietnia 1954 roku) spieszy w sukurs z uzasadnieniem teoretycznym:

„Niemcy nie są imperialistami — powiada stanowczo — Nic nie wydaje mi się równie śmieszne, jak posądzanie Niemców o imperializm”.

Znamy rzeczy bardziej śmieszne. P. Mieroszewski w długim i zawilim wywodzie chce wykazać, że Niemcy nie są imperialistami, lecz tylko „zdobywcami”. Albowiem — zdaniem emigracyjnego filozofa

— „imperializm obliczony na daleką metę pokoleń polega na zjednywaniu sobie przyjaciół i na umacnianiu wpływów kultury mądrą polityką”.

Krótko mówiąc, Hitler nie był dobrym imperialistą. Natomiast mógłby nim być z powodzeniem Adenauer, byleby był sprytniejszy od swoich poprzedników, którzy stosowali brutalne metody, zamiast „mądrej”, „długofalowej” polityki imperialistycznej. Wywody p. Mieroszewskiego stają się zrozumiałe w świetle jego dawniejszych rozważań na tematy niemieckie, kiedy to pisał („Kultura” nr 4 z kwietnia 1951 roku).

„Z punktu widzenia „czystej” polityki Polski możemy porozumieć się tylko z Niemcem, który stoi na stanowisku granicy Odra-Nysa. Lecz faktem jest, że 90 procent Niemców, którzy uznają granicę Odra-Nysa, uznaje również Bieruta i Stalina. Natomiast ci Niemcy, którzy znajdują się po tej samej stronie barykady co my, nie uznają przeważnie granicy nad Odrą i Nysą... Solidaryzowanie się z amerykańskim międzynarodowym systemem antykomunistycznym pociągnąć może za sobą konieczność rezygnacji z pewnych postulatów w imię realizacji celu ogólniejszego, tj. zwycięstwa nad komunizmem”.

I dlatego właśnie p. Mieroszewski i jego przyjaciele odrzucają czystą politykę polską, a wybierają brudną i niepolską. Bo pierwsza dyktuje właśnie porozumienie z demokracją niemiecką, a druga — ta brudna — z niemieckim faszyzmem i militarizmem. Tego zaś wymaga interes klasowy, którego wyrazicielem jest p. Mieroszewski. Niech raczej szlachetnie Polska, niech ją rozszarpia na kawały, niech z niej zrobią General-Gouvernement, niżli by miała być rządzona przez robotników i chłopów.

Więc p. Mieroszewski nakłania niemieckich zdobywców, by się stali rozsądnymi imperialistami i robili swą politykę w białych rękawiczkach, nie zrażając sobie przyszłych ofiar, bo to z kolei utrudnia robotę ich sojuszników spośród reakcyjnej emigracji polskiej. Bo ci przecież muszą mieć stale na uwadze pewne fakty, niemiłe p. Mieroszewskiemu i jego przyjaciółom, niemniej tak prawdziwe, że nie może ich przemilczeć:

„Trzeba jednak powiedzieć z całą szczerością i otwartością, że choć ziemie nad Odrą i Nysą dostaliśmy z rąk Stalina... dziś ziemie te przez 99,9 procent Polaków uważane są za integralną część Polski”.

Rozumie się zatem, że sprawa jest delikatna. Trzeba raczej subtelnej przewrotności Metternicha, aniżeli pięści Bismarcka i butów Hitlera, by wyperswadować Polakom, że mają iść z niemieckimi militarystami w imię „ogólniejszych celów” po to, by swój kraj obrócić w perzynę i zgłiszczą, a w nagrodę otrzymać General-Gouvernement.

Ba, ale pan Mieroszewski ma w dodatku pretensję do nas. Za to mianowicie, że mobilizujemy opinię publiczną w kraju przeciwko groźbie niemieckiego imperializmu, że budzimy czujność Polaków na knowania odwetowców zachodnio-niemieckich i na ich zamiary wobec naszych granic. Nie obydło się przy tym bez małego łgarstwa, które każdy z łatwością zresztą dostrzeże, na temat rzekomego pomniejszania przez nas roli Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Mniejsza jednak o to. Piszę p. Mieroszewski w numerze 4/78 „Kultury” z kwietnia 1954 roku:

„Polska prasa komunistyczna prowadzi celową kampanię antyniemiecką i wychowuje nowe pokolenie Polaków w nienawiści do Niemiec. Jest rzeczą charakterystyczną, że prasa krajowa poświęca niemiernie mało miejsca „przyjaźni” dla wschodnich „ludowych” Niemiec, natomiast całe kolumny wypełnione są napaściami na Niemcy zachodnie. To uparte identyfikowanie rządu Niemiec zachodnich z hitleryzmem ma na celu aktywizowanie nienawiści Polaków drogą stawiania znaku równania między hitleryzmem a niemiecczością. Kluczową rolę w tej propagandzie nienawiści odgrywają ziemie nad Odrą i Nysą. Dzień po dniu wytwarza się w psychice narodu polskiego poczucie śmiertelnego zagrożenia ze strony odwiecznego wroga, który przygotowuje się do odwetu i zaboru”.

Jak widać, ideolog sojuszu polskich i niemieckich faszystów uprawia grę bardzo konsekwentną. Adenauerowi doradza bardziej oględne metody, a nas gromi za to, że nazywamy go po imieniu spadkobiercą i kontynuatorem Hitlera. A wszystko to czyni dlatego, by uspić czujność narodu polskiego wobec śmiertelnego wroga, który dla p. Mieroszewskiego jest najbliższym sojusznikiem. Po prostu dlatego, że podstawowa teza p. Mieroszewskiego, będąca zarazem alfą i omegą polityki emigracyjnej, brzmi („Kultura” nr 2-3 z lutego-marca 1951 roku):

„Każdy dobry, kto gotów się bić przeciwko Sowietom”.

Więc i neohitlerowski Wehrmacht.

GŁĘBOKO sięgają źródła tej adoracji pruskiej soldateski. Gdy Piłsudskiemu wyrwa się okrzyk o „wunderbaren deutschen Truppen”) — „wspaniałej armii niemieckiej” — to jest to nie tylko nieklamany podziw dyktanta-amatora dla dzieła wielkich mistrzów militarysty i koszarowego drylu. Jest to także wyraz najgłębszych przekonań klasowych opatrnościowego męża polskich klas posiadających.

Generał Szyszko-Bohusz tak oto relacjonuje przebieg odprawy inspektorów armii u Piłsudskiego jesienią 1934 roku (cytuje ją za podziemnym pismem mikołajczykowców „Ku zwycięstwu” z dnia 28 lutego 1942 roku):

„Marszałek Piłsudski zadał obecnym inspektorom armii następujące pytanie: „Czy dotychczasowe na-

*) W rozmowie ze Stresemannem podczas sesji Ligi Narodów w Genewie. Patrz P. Schmidt: „Statist auf Diplomatischer Bühne”. Str. 146.

stawienie contra Rosji ma być utrzymane, czy też należy zwrócić się contra Zachodowi?"

Ostatnim z inspektorów, który zabrał głos, był generał Sosnkowski:

„Ten (Sosnkowski) na uzasadnienie swego stanowiska podał, że, zdaniem jego, Rosja jest niebezpieczniejsza, gdyż głosi ona zasady rewolucji socjalnej... „Piłsudski przychylił się do zdania Sosnkowskiego... Zakończył konferencję słowami: „A więc utrzymujemy nasz kierunek contra Wschodowi”.

Ale nie tylko dlatego, że Związek Radziecki jest krajem socjalizmu. Sprawy sięgają jeszcze głębiej. Dotarli mimo woli do ich sedna publicyści najkonsekwentniej wyrażający dążenia reakcji polskiej — Cat-Mackiewicz (oczywiście na długo przedtem, zanim został blażęńskim „premierem”). W swej „Historii Polski” wydanej na emigracji w roku 1942 wyraził rzecz jednym zdaniem: „Na Wschodzie nie byliśmy nigdy narodem chłopów czy robotników kopalnianych, lecz narodem panów”.

Oto wyznaczenie wiary ideologa szlachetczyzny, której najpełniejszym wyrazicielem był w polityce Józef Piłsudski. „Na Wschodzie nigdy nie byliśmy narodem chłopów i robotników, lecz narodem panów”. To decydowało o kierunku całej polityki dwudziestolecia i przedtem. To też decydowało o stosunkach piłsudczyzny do zagadnienia granic Polski. W żadnym innym chyba współczesnym państwie sprawa granic nie wiązała się w stopniu tak decydującym ze sprawą struktury klasowej i oblicza politycznego, jak w Polsce. Reakcja polska sięgała za Bug, nad Zbrucz, nad Niemen, wyciągała cieżkie łapy aż po Dniepr i Morze Czarne. Tam było się „narodem panów”, zginających pięścią ku ziemi karki białoruskich, ukraińskich i litewskich chłopów. Polska Ludowa zwracała wolność swym białoruskim, ukraińskim i litewskim braciom i szła odbierać ziemie, które były odwieczną ojczyzną „chłopów i robotników kopalnianych”, sięgała na zachód, aż po Odrę i Nysę.

Kształt granic Polski jest więc wiernym odbiciem jej struktury klasowej. I tu też tkwią źródła powinowactwa ideologicznego i politycznego pomiędzy reakcją polską a reakcją niemiecką. I tu i tam bowiem „Drang nach Osten” był wyrazem jednakich tendencji społecznych. Junkrowie pruscy byli na swoich kresach wschodnich a naszych ziemiach zachodnich takim samym „narodem panów” jarzmących polskich „chłopów i robotników kopalnianych”, jak magnaci polscy na swoich dawnych kresach wschodnich, a ukraińskich i białoruskich ziemiach zachodnich.

Dlatego Piłsudski i piłsudczyzna czuli się tak bliscy rzecznikom „Wielkiej Rzeczy” i tyle mieli dla ich dzieła sentymentu i zrozumienia. Dlatego Piłsudski i piłsudczyzna z tak lekkim sercem wyrzekali się ziem polskich na zachodzie i to nie tylko tych nad Odrą i Nysą ale nawet tych nad Wartą i ujściem Wisły do Bałtyku.

Hr. Kessler, który z polecenia rządu niemieckiego odwoził Piłsudskiego z Magdeburga do Warszawy, cytował w swych pamiętnikach*) niezmiernie charakterystyczną wypowiedź przyszłego dyktatora Polski na temat granic Polski na północno-zachodzie:

„Marszałek Piłsudski... gdy rozmawialiśmy o Pomorzu, wielokrotnie podkreślał, że Polska nie dba o nie i że nie sądzi on, by otrzymanie Pomorza leżało w jej interesie, jakkolwiek może być zmuszona przyjąć Pomorze, gdyby je Alianci jej ofiarowali”.

Piłsudski nie żywił więc żadnego zainteresowania dla sprawy tak kapitalnej, jak dostęp do morza, a uzyskanie go traktował nawet jako coś w rodzaju dopustu bożego. Stosunek Piłsudskiego do Gdańska znajduje również odbicie w instrukcji pisemnej z dnia 8 kwietnia 1919, skierowanej przezeń do Leona Wasilewskiego, oddelegowanego do Komitetu Narodowego w Paryżu:**)

„Dawałoby to nam w postaci Libawy i Rygi łatwą rekompensatę za wątpliwą Gdańsk”.

Piłsudski więc uważa, że nie warto upierać się przy Gdańsku i gotów ów „wątpliwą” Gdańsk z lekkim sercem odstąpić za port na... wschodzie.

Nawet ziemie tak bezspornie polskie, że nie ośmielił się ich kwestionować przeciwnicy Polski w Wersalu, jak Wielkopolskę, traktował Piłsudski niczym skórkę niewartą wyprawki. Odmówił też wszelkiej pomocy organizatorom powstania wielkopolskiego. Jak relacjonuje Giertych:

„Delegacja działaczy poznańskich udała się do Warszawy, by się dowiedzieć od Piłsudskiego, czy można liczyć na jakąkolwiek pomoc z Kongresówki. Piłsudski oświadczył, że żadnej pomocy nie udzieli...”

Relacja Giertycha znajduje potwierdzenie w przemówieniu samego Piłsudskiego, wygłoszonym w Krakowie w dn. 6 sierpnia 1922 roku. Piłsudski oświadczył dosłownie:

„Braci Wielkopolan z góry musiałem ze swego rachunku wykreślić”.

Rachunek był jednak robiony bez gospodarza, albowiem ludność Wielkopolski zrzuciła jarzmo pruskie samorzutnie, bez pomocy zapatrzonych na wschód dyktatora. Ale i wtedy, gdy w Wielkopolsce lała się już krew, Piłsudski uparcie trwał przy swej odmowie i drugiej delegacji Poznaniaków odpowiedział krótko:

„Nad Poznańskiem istnieje ciągle władza Niemiec”.

Piłsudski nie zamierzał jej podważać. Identyczny stosunek miał Piłsudski do powstańców śląskich. Konsekwentnie odmawiał pomocy i pozostawił powstańców śląskich na pastwę roz-

wydrzonej soldateski pruskiej. Byli to przecież „chłopi i robotnicy kopalniani” w dosłownym tego wyrazu znaczeniu. Panowie byli tu wyłącznie niemieccy. Przedstawicielom powstańców Piłsudski oświadczył więc: „Śląsk to prastara kolonia niemiecka”.

Całość stosunku Piłsudskiego do sprawy granic zachodnich w owym okresie ujmuje instrukcja ustna udzielona przezeń Leonowi Wasilewskiemu w dniu 6 lutego 1919 roku, gdy ten udawał się do Paryża.*)

„W sprawie granic... wypowiedział pogląd, że wszystko to, co Polska otrzyma na Zachodzie, będzie podarunkiem koalicji”.

Słowem, dadzą — to

dobrze, nie dadzą — też dobrze, byle nie dali za dużo. Polska Józefa Piłsudskiego parla bowiem na Wschód. Do tego zaś była jej potrzebna przychylność Niemiec junkierskich. A Niemcy junkierskie wyrosły i utoczyły się na ziemiach „Ostmarku”. Nie trzeba ich stamtąd ruszać.

Z tego pnia piłsudczyzny wyrasta to wszystko, co dziś miota się i gardłuje na emigracji. Wyrósł zeń przecież i faszysta Anders „ambicjonujący się na drugiego Piłsudskiego”, i faszysta Sosnkowski, „najstarszy rangą spośród żyjących piłsudczaków”, i „so-cjalista Arciszewski, który zawsze należał do najwierniejszych z wiernych”. Innymi nieco ścieżkami chodzili ich losy życiowe, ale byli to zawsze „ścieżki obok drogi”, którą chadzał „on, nasz Komendant Piłsudski”.

I tak za następnym nawrotem zaszli do Bonn.

Gdy ich w kraju nazwano targowiczami, nie posiadali się z oburzenia. Dziś tym mianem określają się sami.

„Są to nieodrodni potomkowie starych targowiczów” — pisał o wojennej i powojennej emigracji polskiej p. Klaudiusz Hrabek w detroickim „Dzienniku Polskim” z dnia 10 stycznia 1953 roku.

„Ton Targowicy w koncercie zjednoczeniowym” brzmiał tytuł artykułu paryskiego „Słowa Polskiego” z dnia 27 lutego 1953 roku.

A cóż jak nie Targowica dźwięczy w tych oto słowach emigracyjnego publicysty Jędrzeja Giertycha („List otwarty do członków i sympatyków Stronnictwa Narodowego”).

„Emigracja jest poprzetykana wszelkimi postaciami obcej agenty... Jest na emigracji wyjątkowo dużo żywiołów moralnie i politycznie bezwartościowych: skorumpowanych, zdemoralizowanych, wyko-lejonych, a nawet już się wynaradawiających... Na ogół te najgorsze żywioły są najliczniej reprezentowane w tzw. górnej warstwie emigracji i pragną na jej politykę wywierać wpływ...”

W chwili szerokości ujął rzecz krótko i zwięźle obecny gwiazdor emigracyjnego cyrku, pan „premier” Cat-Mackiewicz („Kultura” Nr 7—8/81—82 z lipca — sierpnia 1954 roku):

„Nie można być jednocześnie łapsem, używanym do posług szpiegostwa wojennego, i reprezentantem interesów swego kraju i swego narodu”.

Święta prawda, lecz cóż oni, emigracyjne łapsy, mają wspólnego z krajem i narodem?

Oddajmy znów głos emigracyjnemu publicystce, p. Mieroszewskiemu („Kultura” Nr 12/74 z grudnia 1953 roku). W dłuższym wywodzie analizuje on stosunek reakcyjnej emigracji polskiej do kraju. Stwierdza, że nekają emigrację „trzy kompleksy emigracyjne”, które określa jako „samozatrucie propagandowe”, „kompleks dwójkarski” i „kompleks „narodukliszy”. Nigdy jeszcze publicystyka emigracyjna nie zdobyła się na taką dozę samobiczującego krytycyzmu. Cytujemy:

„Samozatrucie propagandowe polega na tym, że ulegamy otumanieniu propagandą, którą sami produkujemy. Nicując komunizm na wszystkie strony, spreparowaliśmy własną, emigracyjną wersję marksizmu i uwierzyliśmy, że jest to program przeznaczony dla idiotów i kanalii. To nie jest prawda. Komunizm jest potężną ideą wywołaną przez wielu wybitnych ludzi po tej i tamtej stronie „żelaznej kurtyny”. Jest problemem niezmiernie serio i niedocenianym jego atrakcyjności było i jest nadal niewysłychającym źródłem katastrofalnych błędów polityki Zachodu...”

P. Mieroszewski ma rację. Rzecz w tym, że tej potężnej idei, jaką jest komunizm, jego przeciwnicy nie potrafili, bo nie mogli przeciwstawić nic, absolutnie nic! A w poczuciu własnej nicości popadają w to, co p. Mieroszewski określa mianem „kompleksu dwójkarskiego”: to znaczy fałszowanie i zakłamywanie rzeczywistości, kneblowanie każdego słowa prawdy, byle nie musieć tej rzeczywistości spojrzeć w twarz, byle móc tej prawdy nie słyszeć. Powiada p. Mieroszewski o „kompleksie dwójkarskim”.

„Lek przed posądzeniem o sympatie prokomunistyczne uniemożliwia w praktyce badanie przemian jakie zachodzą w kraju. Żadna bowiem ze zmian nie może być określana jako korzystna. Gdyby ktoś chciał zaryzykować taki pogląd, zostałby natychmiast

*) Leon Wasilewski, op. cit. str. 171.



napiętnowany i „zakartotekowany” jako kryptokomunista, „utyczka”, a co najmniej narzędzie wrogiej inspiracji”.

Ten „kompleks” ma już całkiem realne konsekwencje:

„Jeżeli ktoś nie chce być ofiarą donosów do Anglików, a w szczególności do Amerykanów — musi się stosować do przyjętej konwencji. Pewne ośrodki na emigracji wykorzystują demagogicznie antykomunizm w celu podmurowania własnego autorytetu...”

Ta metoda jest stara jak faszysta, a raczej jak kontrrewolucja. „Dwójka” polska stosowała ją z dawien dawna w Polsce przedwrześniowej i w latach okupacji. W Ameryce stosuje ją McCarthy. Nie jest to więc zjawisko nowe w środowisku, które nadaje ton polskiej emigracji.

Typowe dla kontrrewolucyjnych emigracji wszystkich czasów jest zjawisko zwane przez p. Mieroszewskiego „narodukliszą”:

„Ponieważ większość z nas kojarzy słowo „Polska” z Polską z 1939 roku, ulegamy terrorowi wspomnień i myślimy o kraju, jak o fotografii nie podlegającej przemianom czasu. Kraj „trwa”, naród się nie zmienia...”

A tymczasem — ciągnie p. Mieroszewski — „to nie naród trwa”. To my trwamy w bezruchu historycznym. Jest rzeczą bardzo trudną, gdy się przeżywa dzieje kraju nie bezpośrednio, lecz „second hand” z gazet i książek, utrzymywać ową intymną więź z własnym narodem... Wynaradawiają się nie tylko ci, których wchłania obca kultura, język i społeczność, lecz również i ci, którzy tracą poczucie więzi z własnym narodem. W chwili obecnej proces asymilacji jeszcze nas nie wyszczerbił, ale proces wyobcowania z polszczyzny czyni wielkie postępy...”

Taki właśnie jest nieuchronny los wszystkich reakcyjnych emigracji. Opuszczały kraj po wielkiej przegranej swych klas. I oddawały się natychmiast na usługi wrogów ojczyzny, która stała się im obca i nienawistna, bo nie oni już w niej władali. Starli się wszelkimi siłami ściągnąć na kraj najazd wroga, by na jego bagnatach powrócić do utraconych pozycji, majątków, stanowisk.

Gdy runęła Bastylia — rozbiegli się panowie francuscy po wszystkich dworach Europy. U króla pruskiego, u cara, u Habsburgów zebrali ratunku i pomocy, wsparcia i pieniędzy, bagnetów i armat, żołnierzy i generałów, którzy by najechali ich kraj i na powrót ujarzмили jego mieszkańców. Nie przypadkiem narodziło się wtedy słowo patriota i stało się jednoznaczne ze słowem jakobin. W ustach paryskiego ludu oba były synonimem najwyższych cnót obywatelskich. A w ustach zbiegłych za granicę arystokratów — największą obelgą.

Po Wielkim Październiku to samo powtórzyło się w Rosji. Obszarnicy i burżuazja ściągnęli na kraj aż czternaście obcych armii, by im pomagały na powrót odzyskać to, co utracili. Słowo bolszewik stało się — jak niegdyś słowo jakobin — synonimem patrioty. A w ustach białych emigrantów — największą obelgą.

I znów powtarza się ta sama historia z białą emigracją polską. Uszli stąd, bo nie uznają więcej za ojczyznę kraju, gdzie nie oni rządzą, lecz robotnik, chłop i inteligent. Słowa komunizm, postęp i pokój stały się tu synonimem patriotyzmu i najwyższych cnót obywatelskich. A słowa faszysta, reakcja i wojna przedmiotem powszechnej wzdąry i nienawiści. A u nich — na odwrót.

Próżno więc biadają, że „tracą poczucie więzi z narodem”. Dawno je już postradali. „Proces wyobcowania z polszczyzny” dobiega końca. Umarli za życia, chodzą jeszcze po ziemi na podstawie Trupiej Wizy.

Pisał Jan Lam**) w „Koroniarzu w Galicji”:

„U tych znacznych ludzi bohaterem jest każdy, kto się opiera dzielnie „swędowi rewolucyjnemu” i ma tak mocną głowę, iż mu się nie da zaccadzić. Stoją oni dumnie przy sztandarze, na którym wypisali: nieprzerwalność Targowicy, biorąc rozbrat z narodem z zasady”.

To oni — reakcyjna emigracja polska.

*) Z drugiej ręki (ang.).

**) Jan Lam, postępowy pisarz, publicysta i satyryk.

*) Cyt. za wydaniem amerykańskim: Count Harry Kessler former German Minister to Poland: „Germany and Europe”. New Haven. Yale University Press, 1923.

**) Leon Wasilewski: „Józef Piłsudski jakim go znałem”. Warszawa 1935. Str. 176.

**) J. Giertych: „Tragizm losów Polski”. Pielin 1936. Str. 440.

Daleko od Warszawy



Napisał: MARIAN BRANDYS

Ilustrował: KAROL FERSTER

PRZY wjeździe do miasteczka stoją trzy bardzo stare wiatraki i leży przewrócony drogowskaz z historycznym napisem Pacanów. Znęca się nad nim z filozoficznym spokojem chuda brodata koza. Mimo woli zerkamy na jej kopyta. Nie. Koza nie jest podkuta.

Korzystając z okazji wysypujemy całą zaczerpniętą ze starych książek mądrość na temat kucia kóz w Pacanowie. Są w tej sprawie aż trzy odmienne hipotezy.

Pierwsza opowiada o kowalu pacanowskim, który przychwyłszy kozę w ogrodowej szkodzi, zabrał ją ze sobą do kuźni i tam zreżnicie podkuł nie czyniąc jej poza tym żadnej krzywdy. Tę hipotezę odrzucamy natychmiast jako nietypową, bowiem kowali o tak subtelny i bezinteresownym poczuciu humoru nie ma i nigdy nie było.

Hipoteza druga głosi, że „kozy”, które okuwano w Pacanowie, nie były wcale żywymi kozami, lecz szczególnym rodzajem promów czy statków rzecznych. Tę hipotezę odrzucamy również, bo Pacanów nigdy w swej historii nie leżał nad rzeką.

Pozostaje wersja trzecia o pacanowskiej rodzinie kowali nazwiskiem Kozą. Ci Kozowie mieli być ludźmi niezwykle pracowitymi i punktualnymi, więc całe miasteczko używało ich jako... budzika. Wczesnym rankiem mieszkańcy Pacanowa budzili się ze słowami: Kozy już kują, czas więc wstawać! Stąd poszło później ośmieszające przysłowie. Za prawdziwością tej ostatniej hipotezy przemawiają względy tradycyjno-psychologiczne: w Polsce z ludzi punktualnych zawsze chętnie struga się wariatów.

Tak czy inaczej, z mieszkańcami Pacanowa na temat kucia kóz rozmawiać nie będziemy. „Księga przysłów” Samuela Adalberga ostrzega przed ich drażliwością. Pewnemu ciekawemu warszawiakowi na pytanie, czy w Pacanowie kują jeszcze kopyta — miano tu odpowiedzieć: nie, kopyta już nie kują, ale za to kują... pyski.

Po odfajkowaniu wstępu historyczno-obyczajowego, mijamy znieważony drogowskaz oraz znieważającą go kozę — i ruszamy na zwiedzanie miasta.

Pierwsze wrażenie jest uderzające. Podobnego miasteczka nikt z nas jeszcze jako żywo nie widział. Zupełnie nie wiadomo, czy dziwne to osiedle uważać za miasto, czy też za wieś. Domki małe, kryte strzechą, gęsto przetykane zwykłymi chałupami wiejskimi. Za domami mieszkalnymi stodoły i inne zabudowania gospodarcze. Na ulicy baraszkują w piachu białowłose brzdące, pokwikuja chude prosiaki, gęgają gęsi, gulgoczą indyki, beczą kopyta. Całemu temu sielskiemu pejzażowi patronuje gruszkowata wieża kościelna — samotny wzlot architektoniczny nad płaszczyzną strzech i blaszanych dachów Pacanowa. Słowem: wieś.

Ale ta wieś ma w sobie wszystkie charakterystyczne cechy miasteczka. Uliczki zbiegają się tu promieniście do rozległego rynku. Przy rynku kilka sklepów, apteka, gospoda, „bufet”. Ludzie ubrani całkowicie po miejsku. Więc: miasteczko.

Rynek pacanowski wygląda jak koński targ w nietargowy dzień. Na środku rozległego placu, wokoło figury Matki Boskiej, spory szmat ziemi skopany w kartoflisko i ogrodzony niziutkim, prowokującym nowym płotkiem, takim, jakiego w większych gospodarstwach używa się do groducia prosiąt. Ten chłopski płotek na środku miejskiego rynku sprawia wrażenie niewypowiedziane komiczne.

— Co to jest? — pytamy, wskazując nań ręką.

— To będą planty miejskie — odpowiadają pacanowianie. I te planty powtarzają się we wszystkich późniejszych rozmowach. Śmieszny płotek, który jest ostatnią (prawdopodobnie przedwyborczą) inwestycją miejską, urasta w rozmowach niemal do rozmiarów budowli socjalizmu.

Alę w tym przechwalaniu się płotkiem na rynku pobrzmiewa nutka ironii. W ogóle pacanowianie są ludźmi nie pozbawionymi poczucia humoru i stary

Samuel Adalberg niesłusznie ich oskarża o przesadną drażliwość. Wszystkie nasze pacanowskie rozmowy rozpoczynają się mniej więcej tak:

— Przyjechaliście aż z Warszawy? Ho, ho, ho! I pewnie tylko po to, żeby się dowiedzieć, czy w Pacanowie kują kopyta? Przyznajcie się, bo po cóż innego można by przyjeżdżać z Warszawy do Pacanowa?

I znowu ta nutka subtelnej ironii, tym razem wyraźnie już zaprawiona kroplą gorzkości.

— Bo przecież w Pacanowie nie ma nic do oglądania, zupełnie nic. Trzeba przyznać, że to melancholijne stwierdzenie pacanowian nie wypływa tylko z fałszywej skromności. W Pacanowie rzeczywiście niewiele jest do oglądania. Miasteczko wprawdzie należy do najstarszych osad na ziemiach polskich, bo liczy sobie około dziewięćset lat — ale przez cały ten długi okres dziwnie nie miało szczęścia do historycznej kariery. Do księgi dziejów wpisał się Pacanów tylko dwukrotnie. Raz gdzieś w szesnastym wieku, jak stwierdzają kroniki „dał wstręt” najazdowi tatarskiemu. Miało to być zwycięstwo niemałe i jeżeli wierzyć informacjom żony kierownika pacanowskiego kina, to pacanowianie tak się wtedy za Tatarami zapędzili, że po drodze mimochodem założyli... miasto Tarnów. Drugim tytułem Pacanowa do sławy była istniejąca w

miasteczku szkoła dla niedźwiedzi i niedźwiedników. Szkoła ta zyskała sobie tak szeroki rozgłos, że przez sto lat wszystkich młodych niezgrabiaszów i głupków w Polsce nazywano uczniami akademii pacanowskiej. Poza tymi dwoma faktami Pacanów nie upamiętnił się niczym w dziejach ojczystego kraju. Prawdziwym miastem nie był nigdy, a w wieku XVIII, dzieląc los innych miasteczek kieleckich, pozbawionych gospodarczej racji bytu — schłopiał zupełnie. Od tego czasu wiedzie żywot dziwaczny stworu, który przestał już być miasteczkiem, a nie stał się jeszcze wsią.

Od wielu lat mieszkańcy Pacanowa żyją głównie z pracy na roli tak jak najzwyklejsi chłopcy. Przed wojną Pacanów odgrywał rolę zajazdu i sklepu drobnej galanterii dla okolicznych Radziwiłłów (jak tu mówią: „byłych” Radziwiłłów) i ich oficjalistów. Dziś jest taką samą karczmą i sklepikiem dla okolicznych chłopów. Ale ambicje miejskie pozostały. Pacanów nie chce być wsią. Chce być miastem.

Ambicje miejskie Pacanowa wybuchły przy przygotowywaniu obecnych wyborów do rad narodowych w związku z nowym podziałem administracyjnym na gromady. Pacanów, jak jeden mąż, żądał wydzielienia w osobną gminę miejską. „Guloni” pacanowscy, ze względów czysto ambicyjnych, w żaden sposób nie godzili się iść do jednej gromady z chłopami z okolicznych wsi. Zebranie przedwyborcze rozegrało się w atmosferze sejmiku.

Guloni odzegnawali się od „kmiotków”, chłopcy podkpiwali sobie z gulonów. Nie pozwalamy! Nie ma zgody! Ambicje miejskie Pacanowa wydają mi się objawem zdrowym i zasługującym na opiekę. Wierzę, że z czasem pełna aktywizacja gospodarcza spichlerza kieleckiego stworzy dla nich klimat przychylniejszy. Na razie dobrze byłoby podeprzeć te ambicje jakąś skromniejszą inwestycją, na którą w Pacanowie jest miejsce, może jakąś niewielką fabryczką czy jakąś spółdzielczą wytwórnię przetworów rolnych lub owocowych. My w Warszawie nie wiemy, jak bardzo tam, w zapomnianym kącie Kieleccyzny, czekają na najskromniejszy bodaj dowód pamięci, jak żywo na każdy taki dowód pamięci reagują.

W każdym razie Pacanów ma prawo domagać się przynajmniej tego, aby jego ambicje miejskie nie były obrażane, aby jego, jakże nędzny, stan posiadania nie był uszczuplony. W praktyce niestety dzieje się inaczej.

— Mieliliśmy szkołę — powiadają pacanowianie — ale nam ją zabrali i nie mamy już szkoły. Rzecz prosta, że chodzi tu nie o „akademię niedźwiedzi” z XVIII w., lecz o zawodową szkołę metalową, założoną w Pacanowie przed paru laty, którą obecnie przeniesiono do pobliskiego Staszowa. To posunięcie pacanowianie odczuli jak osobistą zniewagę. Dla ich miejskich ambicji był to prawdziwy cios.

— Chodziliśmy, prosiłiśmy, wnosiliśmy interwencje przez naszego posła na Sejm. Nic nie pomogło. A dlaczego przeniesli — nie wiemy.

Nad tym wypadkiem zabrania szkoły metalowej z Pacanowa nie można przejść tak łatwo do porządku dziennego jak nad przewróconym drogowskazem. Jest to wypadek niemal typowy. Niedawno w innym małym miasteczku musiałem wysłuchiwać żalów z powodu zabrania stamtąd szkoły szybowcowej. Trzeci małe miasteczko skarży się na odebranie mu muzeum ornitologicznego. Cały Dolny Śląsk i Pomorze Zachodnie wyjąłowane zostały z ośrodków kulturalnych na rzecz większych miast. Jest wprost podziwu godne, z jaką lekkością i beztrudną zezwala się u nas na zubożenie kulturalne najbardziej upośledzonych punktów naszego frontu kulturalno-oświatowego. Staszów jest trochę większy od Pacanowa i ma lepszy dojazd, więc niech tam idzie sobie pacanowska szkoła metalowa. Dla Pacanowa wystarczy dom dziecka, prowadzony przez siostry Kanoniczki. I tak dzieje się niemal w całym kraju. Nasza migracja kulturalna w ostatnich latach zmieniła swój zasadniczy kierunek. Przedtem szedł on od sztabów do pierwszej linii frontu — teraz idzie od pierwszej linii ku sztabom. Sądzę, że nie jest to zjawisko pozytywne i kiedyś będzie się za nie płacić.

Wieczorem wybieramy się do pacanowskiego kina. O szóstej panuje już w Pacanowie głęboka noc. Na mrocznym rynku jarzą się tylko dwa światelka jak wilcze oczy: okna gospody i „bufetu”. Ten bufet — maleńka podła knajpka, w której sprzedaje się wyłącznie wodę i jakiegoś symbolicznego śledzia — jest niewspółmiernie dochodową imprezą w stosunku do możliwości płatniczych pacanowian. Z dwóch milionów, które zarobił Pacanów przy budowie drogi, w bufet wsiąkł przynajmniej milion.

Mniej intratną placówką jest pacanowskie kino. Przed lokalem kinowym zastajemy zakłopotaną gromadkę pracowników kina, rozmaitych czynników kulturalnych oraz tłum dzieci. Nadejście nasze zostaje powitane przez dzieciarnię głośnymi okrzykami radości. Trzech nowych gości znakomicie zwiększa szanse na odbycie się seansu. Bo okazuje się, że brak jeszcze koniecznego kworum — dwudziestu pięciu czy trzydziestu osób. Kierownik tłumaczy, że ludzie doją jeszcze krowy, obrządzają gospodarstwo, jak to w Pacanowie. Trzeba więc jeszcze poczekać. Na razie rozsyła się dzieci po stałych gości — takich, co przyjdą na pewno. Ponieważ jest jeszcze trochę czasu, idziemy na piwo do gospody. Dwie małe dziewczynki posuwają się za nami trop w trop. Nie pozwolą przecież na to, aby trzech dorosłych gości urwało się z seansu.

Kiedy wracamy w 15 minut później, kworum jeszcze nie ma, ale ze względu na gości z Warszawy zapada de-



Sabinka i Halinka.



Rynek w Pacanowie z ogrodzonym miejscem na zieleniec.



Kierownik kina.

czyja rozpoczęcia seansu. Wyświetlają słowacki film „Zapora”. Tuż przed nami rozsiada się kilka dziesięcioletnich dziewczynek. Wśród nich nasze znajome Sabinka i Halinka.

Film „Zapora” należy z pewnością do najsłabszych filmów słowackich i oparty jest głównie na dialogach. Ponieważ zaś aparatura dźwiękowa kina pacanowskiego wydaje tylko jeden dźwięk, przypominający szum Wodogrzmotów Mickiewicza w Tatrach, a napisy na filmie umieszczone są tak dowcipnie, że jedynie przeszkadzają w oglądaniu filmu, ale odczytać się nie dają, więc treści filmu „Zapora” absolutnie nikt nie może zrozumieć. Dorosli pacanowanie nuda się więc jak przy słuchaniu okolicznościowego referatu i teraz dopiero rozumiem, dlaczego wolą doć krowy, niż chodzić do kina.

Natomiast nasze małe sąsiadki bawią się wymiennie. Tylko że ich zabawa pozostaje w dość luźnym związku z treścią filmu. Rozmowy, które słyszę, odbiegają nieco od dialogów naszych książek dla młodzieży. Jednego z bohaterów filmu dzieci uznały z jakichś nieznanych mi przyczyn za szpiega i jego losem interesują się głównie.

— Popatrz, to żona szpiega! — odzywa się Halinka.

— Nie bądź głupia: ona młoda, on stary — oponuje Sabinka.

— Co ty! — oburza się Halinka — w Sroczkowie jeden miał sześćdziesiąt cztery lata, a wziął sobie osiemnastoletnią!

Na ekranie budowniczym zapory wypłacają pieniądze.

— O, wypłata — cieszy się Halinka — o, ile dostał: pięćset, a może tysiąc!

— Coś ty — mityguje Sabinka — mój wujek całą noc chodzi, a zarabia tylko pięćset pięćdziesiąt!

— Mój brat to ma pieniędzy w dechę — chwali się trzecia dziewczynka. — Ale on robi za górnik.

Naraz cała dzieciarnia ożywia się nadzwyczajnie. Na ekranie pojawia się nowa osoba. Wszyscy poczynają wrzeszczeć jak opętani:

— O kułak! O kułak! Kułak!

— Skąd ty wiesz, że to kułak — nvtam zaintrygowany Halinki.

— Jak to skąd — zdumiewa się mała — kułak, bo gruby.

— To znaczy, że kułak zawsze musi być gruby?

— Nco..

— Czekajno — wtrąca Sabinka ogarnięta nagłymi wątpliwościami — a Solarczyk ze Słupi? Ten jest chudy.

— Ee tam! — załatwia się pogardliwie Halinka z tym antyschematycznym wyjątkiem — wszystkie kułaki są grube i już.

Myślę sobie, że los otyłych demokratów w Pacanowie musi być nie do pozazdroszczenia.

W drugiej części filmu „szpieg” na ekranie przechodzi przez jakieś ciężkie perypetie. Dzieci ogarniały szła. Halinka i Sabinka wskakują na krzesła i wygają piśkami:

— A ty śpiegu, a masz, a masz! A widzisz! A sam chciałeś.

Później kierownik kina wyjaśnia, że ten „szpieg” to wcale nie jest żaden szpieg, tylko „taki pozytywny, co się waha”. No, ale skąd niby dzieci mają o tym wiedzieć.

Kiedy opuszczamy kino i wychodzimy w ciemną pacanowską noc, kierownik kina prosi, abym powiedział „tam w Warszawie”, żeby pamiętali trochę o Pacanowie i przysyłali jakieś ludzkie filmy, bo w Pacanowie także są ludzie. Przysyłaj kierownikowi, że wszystko to powiem, ale czy pomoże — nie wiem. Pacanów jest tak daleko od Warszawy.



Fot. CAF

„ŚLĄSK” TAŃCZY I ŚPIEWA

OLBRYMIE półkole barw i blasków — tęcza młodości i uśmiechu. Piosenki górniczego zagłębia, pieśni dymiącej śląskiej ziemi, przeciągłe wołania beskidzkich górali, ich taniec i zabawy spletały się w migotliwe, zmienne, śpiewne widowisko.

„Śląsk” śpiewa. Zdziwiałąco silne, jak na wiek chłopców — basy, nadzwyczajne, jak spłz dźwięczne alty, srebrzyste soprały mienia się odmianami barw — od ciemnej, zmatowiałej niebo w planach aż do jasnej surowej, wiernie ludowemu brzmieniu „białego” głosu. Śpiew jest niezapomniany. Są w nim ecna wesoła i smutki dziewczęce, są tony buntu przeciw pańskiej przemocy, są jurne, ostre żarłki. Śląsk kocha inaczej niż Mazowsze. Na Mazowszu wzdycha się, tęskni, płacze, rozpacza i żali. Na Śląsku woła się po prostu: „Dawaj gęby!”, a potem już tylko mowa o kołysce. To słychać w piosenkach, widać w tańcach.

Ale „Śląsk”, podobnie jak „Mazowsze”, ma serce wrażliwe na radość i smutek, i dlatego tak samo szczerze brzmią te, jak i tamte piosenki. I dlatego ze szczerem entuzjazmem klaszcze się opuchniętymi rękami w podzięk za te piękne melodie, wspaniałe głosy, barwne stroje, rozwinięte tańce. Pomyślmy: jeszcze dwa lata temu...

Dwa lata temu obecny kierownik artystyczny Zespołu, Stanisław Hadyńska, jeździł, chodził, wspinał się, wędrował odwiedzając beskidzkie wiosczyny, śląskie wsie zapadłe, do których miejskie zwyczaje nie wdarły się jeszcze na tyle, by skazić surowe piękno folkloru. Woził z sobą wąskotaśmowy aparat z filmem o zespole „Mazowsze”. Odwiedzał dzielnicę na „skubaczach”, konferował z chłopakami, wyświetlał film, tłumaczył, że chce zrobić coś takiego jak „Mazowsze”, i odjeżdżał.

Odjeżdżał, ale ziarno niepokoju puszczało kłosek. I chłopak lub dziewczyna dalej do matki, do ojca; chcę jechać. Jeśli napotkali przychylności całowali dłonie rodziców i jechali. Jeśli nie — to bywało różnie. Zdarzało się, że ta lub ów o północy zmykał z domu i na gapę przyjeżdżał do Koszęcina. Zwykle wystarczało wtedy uważne spojrzenie, by rozmowa przybrała taką formę:

— Rodzice wiedzą, że tu przyjechałeś?

— A bilet masz?

— I co my z tobą zrobimy?...

Strapione oblicze wyrażało taką pokorę, taką skruchę, a w oczach lśniło przy tym tyle żarliwej pasji, że groźna komisja wymieniała porozumiewawcze spojrzenia, mruczac:

— Znowu trzeba się będzie składać na bilet dla smarkacza...

I tak dzień za dniem, tydzień za tygodniem, przez sale koszęcińskiego pałacu, przez salki Młodzieżowego Domu Kultury w Stalagrodzie przewijały się setki, a potem i tysiące młodzi. Każdego kandydata poddawano surowemu egzaminowi, aby do zespołu dostały się tylko głosy najsłabsze, talenty najczystsze wody. Państwo dawało młodzieży takie szanse, jakich ona nigdy jeszcze nie miała. Dawało utrzymanie, mieszkanie, ubranie i naukę, dawało perspektywę otwartych dróg do serc ludzi całej Polski — a potem — całego świata. Te szanse mogły przypaść w udziale tylko najzdolniejszym.

Z eliminacji wyłaniał się z wolna zarys przyszłego zespołu: sto kilkadziesiąt chłopców i dziewcząt, z których miał powstać zespół chóralski i taneczny. Siedziba ich stał się piękny zamek w Koszęcinie, byłej rezydencji magnackiej, Hohenlohe-Ingelfingen. Wykłady prowadzili najlepsi śląscy pedagodzy i muzycy, dojeżdżający ze Stalagrodu. Młodzież szybko zadomowiła się w swym małym państewku, utworzyła samorząd, który niwelował kwestie sporne, wlazał i zbliżał. Zaczęły się tworzyć załóżki kolektywu. Duszą i sercem zespołu był od pierwszej chwili Stanisław Hadyńska. Jego talent, znakomite zrozumienie śląskiego folkloru ułatwiło mu pracę nad repertuarem dla zespołu. „Śląsk” zaczął śpiewać. Aby lepiej poznać śląską ziemię, aby zbliżyć do niej tę część młodzieży, która pochodziła z innych stron Polski — urządzano wycieczki.

Na jednej z takich wycieczek, pod Baranią Górą, przedzierali się przez zagajnik. Na łączce przystanęli. Zza górki dobiegł ich głos. Śpiewała jakaś dziewczyna.

— „Doliny... Ale ma głos!... — westchnął jeden z chłopców.

— Odpowiedzmy jej. Cwiczylśmy tę piosenkę — poddał drugi.

Zaspiewali chórem. Po chwili otaczali wystraszoną Marysię. Kukuczkównę. Pasa kozy w pobliżu.

— Jedź z nami. Będzie ci dobrze! — zachęcali. — Ociągała się. — Czy tatulo się zgodzi?

Gromadą poszli do ojca. Stary górnik najpierw słuchał nie chciał, ale gdy od dziewczyny z niedalekiej wsi usłyszał, że w Koszęcinie jest im dobrze, że uczą się, śpiewają — wtedy zmieknął i nie dość, że dał przyzwolenie, ale jeszcze na drogę opatrzył.

W taki sposób trafiła do zespołu Marysia i, jak wiele jej koleżanek, wniosła doń talent i zapal, uśmiech i radość, które później miały tak piękne dać rezultaty w śpiewie i tańcu.

Zaczęły się pracowite miesiące. Młodzież uczyła się śpiewu, muzyki i tańca, przerabiała jednocześnie normalny program szkolny. Długie były ćwiczenia i próby, długie nocne godziny nauki. U ich końca znajdował się upragniony pierwszy występ.

I oto doczekali się. Sto pięćdziesiąt dziewczyn i chłopców wystąpiło w początku listopada w Warszawie. Piękne stroje, wspaniałe ślaskie — górnicze i ludowe, zagłębiowskie i beskidzkie — piosenki, opracowane przez Stanisława Hadyńskiego, barwne, żywe tańce, ułożone przez Elwirę Kamińską, stwarzają z występu urzekające widowisko, niezapomniany koncert, jedyne w swoim rodzaju przeżycie. Jest w tym zespole wdzięk młodości i szeroki oddech talentu, jest żarliwość, umiłowanie pieśni i junacka fantazja tańca, są oryginalne, piękne głosy.

„Śląsk” śpiewa. Dźwięczy w tym śpiewie wszystko, czym żyje wspaniała, śląska ziemia.

A. ZIEMBA



„Śląsk”, podobnie jak „Mazowsze”, ma serce czule na radości i smutki. Dlatego piękne są jego piosenki i tańce.

Długie miesiące mozolnej pracy, niekończące się próby muzyki, śpiewu i tańca poprzedziły pierwszy występ



Uliczka pacanowska z widokiem na kościół.

Huragan

W REJONIE SALERNO



Tragiczne dzieje ostatnich kilku dni odczytać można na twarzach mieszkańców Salerno. Opowiadanie ich notuje wysłannik „Unita” (po lewej).



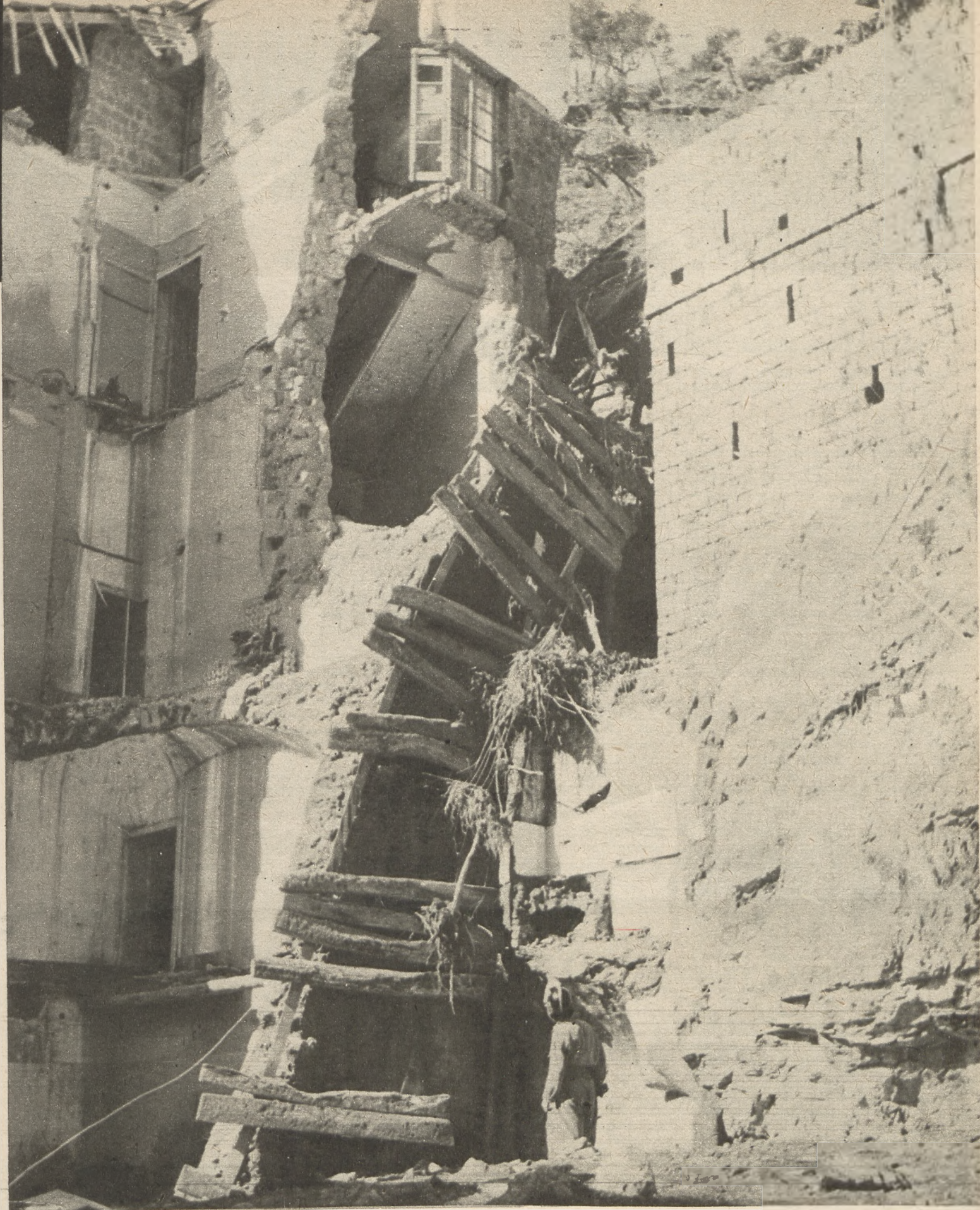
W szpitalach i kościołach gromadzą się tłumy... To rodziny szukają zwłok swoich bliskich. Według niekompletnych jeszcze danych w samym Salerno zginęło 200 osób, a setki mieszkańców odniosły rany.

Do pracy nad oczyszczaniem ulic ruszyły brygady ochotnicze. Młodzi robotnicy z miejscowej huty szkła odkopują samochód niemal całkowicie zagrzebany w gęstym mule, naniesionym przez wylew rzeki.



W miejscowości Vietri Marina, gdzie szkody są nie mniejsze niż w Salerno, mieszkańcy starają się ratować swój ubogi dobytek.

Kłęska żywiołowa znowu nawiedziła Włochy; prasa donosi, że huragan, oberwanie się chmur i powstałe wskutek tego powodzie przyniosły szkody, które na razie nie dają się jeszcze obliczyć. Do tej pory liczba zabitych sięga co najmniej 500 osób, rannych i chorych można liczyć na setki, a ludzi pozbawionych dachu nad głową — na tysiące. Szczególnie poważne szkody wynikły w rejonie Salerno, gdzie po dwudniowej, gwałtownej ulewie rzeki wystąpiły z brzegów, powodując zawalenie się dużej ilości domów, mostów, całkowite przerwanie komunikacji telegraficznej i telefonicznej, zniszczenie wielu dróg. Czy klęskom żywiołowym, które w niebezpiecznie krótkich odstępach czasu nawiedzają Włochy, nie można zapobiec? Takie pytanie rzuca pod adresem rządu oburzona opinia publiczna tego kraju. „Unita“ — organ Komunistycznej Partii Włoch — pisze na ten temat wprost: „Podczas gdy na skutek straszliwej powodzi w rejonie Salerno giną setki osób, nasi przemysłowcy i kapitaliści myślą o inwestycjach na „dziewiczych ziemiach“ Sahary. Pierw niż „opuszczone ziemie“ Afryki trzeba zagospodarować i zabezpieczyć własne ziemie w kraju; tego domaga się nasze rejony południowe, tego domaga się cały naród włoski“. Komentatorzy prasy postępowej podkreślają śmieszność nawoływań kapitalistów o „rządy silnej ręki w celu rozbudowy państwa“. Nie ma co marzyć o rozbudowie — piszą — jeśli rząd nie potrafi nawet zachować tego, co kraj posiada obecnie, nie potrafi otoczyć odpowiednią opieką swoich obywateli, którzy w olbrzymiej większości i tak cierpią niewystawioną nędzę. Karygodne niedbalstwo w zakresie podejmowania robót publicznych, a w szczególności regulacji rzek w prowincjach pustoszonej przez powodzie nieraz kilka razy w ciągu roku — oto tragiczne skutki polityki rządu, wkładającego całą swoją energię w prowadzenie „zimnej wojny“ z państwami obozu pokoju. „Skończyć z jałową krucjatą nienawiści — woła dziennik włoski „Unita“ — nasz naród pragnie zjednoczony pracować nad swoim własnym odrodzeniem“.



Na drodze Salerno — Vietri powódź zmyła tor kolejowy, rzucając go na pobliskie domy. Komunikacja jest całkowicie przerwana.

Na miejsce katastrofy przybyły rodziny zaginionych. Policja stara się powstrzymać napór ludzi, którzy chcą jak najprędzej dowiedzieć się prawdy o swoich bliskich...



Pomiędzy tymi ruinami niedawno jeszcze stały domy — woda zniosła je bez śladu. Gromadzą się tu grupki mieszkańców, obserwujących bezradnie rozmiary zniszczenia.





CZY WIECIE CO PALICIE?

WITOLD NOWIERSKI

Fot. JAN KOSIDOWSKI



Virginia — słowo dla wtajemniczonych. Dla laików jest to po prostu nazwa jednego z krajowych gatunków tytoniu.

Smacznego... Ależ to nie plaster miodu! „Przysmak” palaczy — „Giewonty” znajdziesz w takiej obfitości tylko na... zdjęciu

CZY każdy z palaczy wie, co to jest bakun? Jest to przygotowany domowym sposobem, nieprzefermentowany tytoń. Paliliśmy go w czasie wojny, kupując pokątnie i przygotowując w domu liście tytoniowe. Nie wszyscy jednak wiedzą, że dziś w naszych papierosach palimy tytoń niewiele różniący się od takiego domowego bakunu. Najciekawszy jednak jest fakt, że dzieje się to z wiedzą i aprobatą specjalistów odpowiedzialnych za produkcję i jakość papierosów (bo nie podejrzewam ich o to, że nie wiedzą, co się dzieje w naszych wytwórniach tytoniu i fabrykach papierosów).

W przemyśle tytoniowym jest jeszcze wiele innych spraw do omówienia i wyjaśnienia i myślę, że dobrze będzie, jeśli palacze dowiedzą się całej prawdy, a nasi specje z przemysłu tytoniowego wezmą ją sobie do serca.

Dlatego też odbyłem wędrowkę po wytwórni tytoniu i fabryce papierosów, a wrażenia z niej postaram się przekazać Czytelnikom jak najwierniej.

Proszę o „Giewonty”. — Nie ma. — To niech będą „Zeglarze”. — Nie ma. — Są może „Poznańskie”? — Nie ma. — A co jest? — „Sporty” i „Wczasowe”. — Do licha! Dawaj pan już te wstętnie „Wczasowe...”

Tak jak większość palaczy mam zastarzałe pretensje do Monopolu Tytoniowego, a mówiąc ściślej do Centralnego Zarządu Przemysłu Tytoniowego. Nie smakują mi „Wczasowe”, bo się „zle ciągną” i pali się je jak trawę, wymyślam na „Sporty”, bo się wysypują, a nierzadko znajduję w nich jakieś przedziwne badyłe. Uganiam się za „Giewontami”, a jednocześnie — jeśli je jakimś cudownym trafem dostanę — coraz bardziej rozczarowuję się do ich pogarszającego się smaku. Każdy nowy gatunek papierosów witam z rezerwą, przytakuje tym wszystkim, którzy twierdzą, że to nowy podstęp w stosunku do palaczy, że po dwu tygodniach smak ich znowu wydatnie się pogorszy. Nie znalazłem wprawdzie nigdy w papierosie ani zardzewiałego gwoźdźka, ani strzępu sznurowadła, ale wlezyłem długo tym, którym się to przytrafiło.

Moja wycieczka po fabrykach przemysłu tytoniowego sprawiła, że tym ostatnim już nie wierzę. Sprzeciwiam się również twierdzeniu, że do papierosów pcha się liście brzożowe, bo zwiedzając nasze fabryki i zapoznając się dokładnie z przebiegiem produkcji, przekonałem się, że to niemożliwe. Natomiast, co do sposobu produkcji krajowego tytoniu, smaku papierosów, ich wykończenia oraz dystrybucji mam nadal zastrzeżenia i wiem już, komu przypisać winę: nie tylko fabryce, lecz również — a może przede wszystkim — biurokratom z Centralnego Zarządu Przemysłu Tytoniowego, którzy opracowują i... dowolnie korygują tak zwaną „recepturę” papierosów. W wielu wypadkach niestety lekceważą oni sobie całkowicie przyzwyczajenia palaczy, stosują natomiast zasadę „co mam to dam” (a nie to, co powinienem), tolerując równocześnie jawne i masowe brakorobstwo w wytwórniach tytoniu.

TAJNIKI PRODUKCJI TYTONIU

Jesień, to okres zbiorów tytoniu i jego podstawy do fabryk. Sznury chłopskich furmanek ciągnęły do Czyżyn, gdzie znajduje się nasza największa wytwórnia tytoniu, i obok — nowoczesna fabryka papierosów. Mżył drobny deszczyk. Na małych wózkach, na jakich chłopcy wożą wszystko — kartofle, jarzyny, nawozy itp. — bezładnymi kupami, przykryte dziurawymi szmatami, leżały wiązki liści tytoniowych. Deszczyk je roszył, błotko ochładzało, ciężar wóznicy siedzącego na tej sterce ubijał, łamał, kruszył liście. To plantatorzy wiozą surowiec do wyrobu naszych papierosów — pomyślałem i... zrobiło mi się nieprzyjemnie na myśl, że będę „to” palił.

Odbiór i klasyfikacja tytoniu to prawie że czysta formalność. Pewien procent — ale już naprawdę samych

gołych badyli odrzuca się, reszta idzie na wagę, na plachty i do kabin klimatyzacyjnych, gdzie liście w odpowiedniej temperaturze i wilgoci powinny fermentować, by stać się tytoniem. Ale niestety! Nigdy nie będą one pełnowartościowym tytoniem, mimo że wejdą w skład mieszanki papierosowej. Następny bowiem etap, okres tak zwanej maturacji — kiedy to leżąc w spokoju i w odpowiedniej temperaturze, tytoń powinien nabierać aromatu, smaku i mocy — skrócony został z wymaganych 10 miesięcy do kilku tygodni. To już jest sprawa karygodna, to jest marnotrawstwo surowca, po prostu obniżanie jego jakości. I nic tego faktu nie usprawiedliwia. Ani to, że fabryki papierosów potrzebują stale coraz to nowych transportów, ani, że palacze więcej palą, ani, że nie ma odpowiednich pomieszczeń.

I właśnie nieprzestrzeganie wymaganego okresu maturacji za wiedzą, ba! nawet na wyraźne polecenie fachowców z CZPT — jest podstawową przyczyną fatalnej jakości naszych papierosów.

A oto bele importowanych tytoni bułgarskich, tureckich, chińskich i innych, które mają wpłynąć na poprawę smaku naszych papierosów. Jak wykazuje praktyka, dotychczas smak naszego krajowego „tytoniku” jest tak dominujący, że zabija całkowicie aromat, jaki spodziewamy się znaleźć w tytoniach importowanych.

Na oko i w dotyku liście importowane są cienkie, elastyczne, o pięknym złocistym kolorze. Wyglądają o niebo lepiej od naszych. Przede wszystkim zaś mają tę wielką zaletę, że, mówiąc fachowo, są „wyżyłkowane”, to jest pozbawione ogonków i grubych, przechodzących u nasady liścia żył. Nasze liście niestety idą do krajalni z tymi grubymi częściami i stąd tak często trafiają się w papierosach zniekształcone przez palaczy „badyłe”. Nie znam pobudek, jakimi kieruje się nasz CZPT każąc zużywać w produkcji całe liście. To jest już jego „słodka” tajemnica.

A więc mamy już tytoń i nasz krajowy, i wiele gatunków zagranicznych. Wprawdzie ten nasz nie jest pierwszej jakości, bo brakuje mu kilku miesięcy spokoju, nie nabrał jeszcze odpowiedniego aromatu i mocy, wiele liści ma jeszcze zielonkawy kolor, a ta świeżość, jak wiadomo, nie dodaje smaku — ale w każdym razie to już jest prawie tytoń. Teraz tylko zastosować odpowiednią recepturę mieszanki i... Ale nie uprzedzajmy faktów, zobaczmy sami, jak przebiega proces produkcji „Sportów” i nieuchwytnych „Giewontów”.

JAK POWSTAJĄ „SPORTY” I „GIEWONTY”?

W skład mieszanki przygotowywanej do „Giewontów”, zgodnie z recepturą powinno wchodzić 10 gatunków tytoniu, w tym 75% tytoni zagranicznych i 25% krajowych (jaśniejszych Virginia), dla „Sportów” zaś aż 15 gatunków tytoniu, w stosunku 40% zagranicznych, a 60% krajowych (ciemnych Kentucky). Taką recepturę ustalili fachowcy z CZPT i fabryki powinny się jej ściśle trzymać, chyba że... zabraknie jakiegoś importowanego gatunku i wtedy na wyraźną dyspozycję CZPT albo wstrzymuje się chwilowo produkcję jakiegoś gatunku i wtedy znika on z rynku, albo... daje się zastępczo, „chwilowo”, jakiś inny gatunek tytoniu. Takie „chwilowe” zmiany receptury są bardzo częste i nie ma chyba w kraju takiej fabryki, która miałaby zawsze na składzie wszystkie potrzebne gatunki tytoniu importowanego. Ma natomiast przeważnie nasz niedostatek tytoni i za zezwoleniem CZPT pakuje go ile się da, w myśl

zasady: „I to też będą musieli palić, a plan będzie wykonany i premia „leci”, a może nawet i pochwała za inicjatywę...”

„Kobiece brygady układają na podłodze warstwami wysokie sterty liści. Każda warstwa zwilżana jest wodą, niestety „na oko”, ze zwykłego szlauchu zakończonego sitkiem. A przecież wiadomo, że od tej czynności, od odpowiedniego nawilżenia tytoniu zależy, czy tytoń nabity w gilzy po wyschnięciu stwardnieje „na patyk” i czy papierosy będą odpowiednio ciągnąć. Ten prymitywny sposób nawilżania tytoniu wydaje się tym bardziej dziwny, że w fabryce Czyżyny stoją od dawna — ale za to bezużytecznie — nowoczesne komory nawilżające.

Następnym etapem jest mechaniczne mieszanie i oczyszczanie liści. W tym dziale pozbyłem się przynajmniej jednej wątpliwości: sądziłem, że w skład papierosów wchodzi zbyt wiele tak zwanego prochu tytoniowego i kurzu. Nie — liście są dobrze oczyszczone.

Trzy doby odpczywa pokrojony mechanicznie tytoń, przygotowany do nabijania w gilzy, aby następnie dostać się na maszyny działu wyrobu papierosów. Każda maszyna wypuszcza ok. 65 tys. papierosów na godzinę. Widziałem, jak robotnice sprawdzały co chwila twardość wychodzących z maszyny papierosów, jak badały wilgotność tytoniu, jak mechanicy regulowali dopływ mieszanki, słowem, jak wszyscy dbali o jakość i estetykę wykonania papierosa, ale niestety na jego smak — wobec złych mieszanek tytoniowych i błędów w poprzednich etapach produkcji — nie mogą mieć wpływu.

Suszenie gotowych papierosów i ich automatyczne pakowanie na maszynach, które odliczają, formują paczki, wkładają do nich papierosy i zakleja-

ją, to etapy zamykające proces produkcji, ale i one już na jakość wpływu nie mają...

DRÓBNY EKSPERYMENT

Skończyłem wędrowkę po fabryce i uświadomiłem sobie mnóstwo spraw, które wydawały mi się przedtem zagadkowe. To nie robotnicy i nie fabryka, lecz panowie fachowcy zza biurka w CZPT psują smak naszych papierosów swymi papierowymi zarządzeniami. W czasie końcowej rozmowy z dyrektorem technicznym i kierownikiem produkcji w Czyżynach palilem „gościnne” „Giewonty”. W pewnym momencie wyciągnąłem z kieszeni paczkę takich samych (pożornie!) „Giewontów”, ale wyprodukowanych w fabryce radomskiej. Błysnęła mi „genialna” myśl, aby dokonać eksperymentu. Rozerwałem gilzy. Na blyszczącym blacie dyrektorskiego stołu leżały obok siebie dwa rzędy „Giewontów”. I wcale się już nie zdziwiłem, że zarówno kolor tytoniu, jak i grubość włókna były w obu papierosach całkowicie do siebie niepodobne. Znałem już tajniki receptury i procesu produkcyjnego.

* * *

A teraz pytanie pod adresem CZPT: Po co te receptury? Po co tych 15 gatunków tytoniu do „Sportów”, a 10 do „Giewontów”, kiedy to przeważnie fikcja? Czy nielepiej otoczyć większą fachową opieką plantatorów, aby dawali surowiec lepszy i w większych ilościach, prawidłowiej ten nasz krajowy surowiec przerabiać, stworzyć receptury oparte na istotnych możliwościach, zaostriżyć międzycyferacyjną kontrolę w fabrykach i usprawnić dystrybucję?

Dystrybucja! O, to zupełnie odrębny rozdział tytoniowej „Odysei” i na osobną zasługuje uwagę.



„Pranie” zakończone. Teraz jeszcze kilka tygodni tak zwanej maturacji, od której zależy aromat, smak i moc naszych papierosów. Gdyby jednak fermentacja trwała kilka miesięcy, gdyby liście tytoniu były „wyżyłkowane”, gdyby...

Niebieskie kartki

PATRZCIE LUDZIOM W OCZY

PRZED końcem roku szkolnego zobowiązałem się wobec Związku Nauczycielstwa Polskiego, że we wrześniu wyjadę na spotkanie z czytelnikami. Ponieważ w oznaczonym terminie nie miałem listu, sądziłem, iż cała rzecz się rozchwiała. Niespodziewanie w ostatni poniedziałek września otrzymałem telefon zapytaniem, czy wiem, że na jutro występuje w Piotrkowie Trybunalskim, a w środę w Tomaszowie Mazowieckim, że afisze już są rozlepione.

Za późno, bo już w pociągu stwierdziłem, iż nie zabrałem karteczek z adresami. Pamiętałem, iż występ miał się zacząć o piątej; równo o tej godzinie ekspres paryski przystaje w Piotrkowie. Spieszyłem się do tego stopnia, że się nie zdążyłem nawet zdziwić, że nikt na mnie nie czeka. Pierwszego z brzegu do rozkarczka poprosiłem, żeby mnie zawiózł do klubu nauczycielskiego.

— Nie wie pan, gdzie klub nauczycielski?
— Klub? — naraz mu się twarz rozjaśniła. — Siedzą pan!

Zawiózł mnie do klubu sportowego „Kolejarz”. Poszukiwania nie spustoszyły nadmiernie mojego czasu; po upływie pół godziny byłem na miejscu. Nie spodziewałem się tłumów, ale na schodach panowała cisza jak w kościele. — Ładnie się zaczyna — pomyślałem idąc w górę. Otwieram jedne drzwi, drugie — pusto, dopiero w trzeciej sali zastałem kogoś, kto przyjął mnie ze świętem w twarzy. — Pan sam? — zdziwiła się — Pani Iwańska nie czekała na stacji?

Mój wieczór miał się odbyć w liceum pedagogicznym niedaleko stąd. Wyszliśmy; moja przewodniczka była szczęśliwa, że mnie prowadzi, ja, że w ogóle kogoś znalazłem. Żadnych afiszów na mieście nie było, impreza miała charakter wewnętrzny.

Na korytarzu czekali przedstawiciele miejscowego nauczycielstwa. W kancelarii skarbnik od razu przystąpił do załatwienia formalności. — Chce pan zapłacić z góry — ostrzegł ktoś z boku. — Może nie warto? Dowiaduję się, że ze sto siedemdziesiąt osób czeka na górę, przyjechali nauczyciele z powiatu. Idziemy wreszcie na górę; sala schludna, trochę chłodna, właściwie dwie salki połączone ze sobą.

Nie mam wielkich doświadczeń estradowych, nie bardzo wiem, czy od razu usiąść za stołem, czy czekać aż poproszą, czy kłaniać się, kiedy pada moje nazwisko, czy udawać, że to nie o mnie chodzi. Fala występów autorskich, która w poprzednich latach przeszła przez Polskę, ominęła mnie. Całe moje doświadczenie sprowadza się do kilku występów, przedzielonych latami, tak że zapadam na wtórny analizm. Najsilniej utkwiał mi w pamięci występ na Smulikowskiego w Warszawie. Nie przedstawiony przez nikogo usiadłem za stołem, odbębniłem swoje. Gdy schodziłem, jakiś starszy pan wybiegł naprzeciwko mnie: — A kiedy przyjdzie pan Rudnicki?

Bez doświadczeń wiem jednak, że najlepszy nawet tekst szybko nuży, słuchacz popada w marzenie, w nuda, w sen, zwłaszcza teraz, kiedy są tak pomęcenia. Postanowiłem nie czytać kobyt. Zabrałem ze sobą Niebieskie Kartki: są krótkie, długo spać przy nich nie można.

Po dwudziestu minutach czytania przewodniczący poprosił, żeby się ktoś z zebranych wypowiedział. Milczenie. Sięgnąłem po dalsze Kartki. Po dalszych dwudziestu minutach przewodniczący znów poprosił, żeby ktoś coś powiedział.

Pierwsza zabrała głos kobieta o inteligentnej twarzy. Powiedziała, że to, co przeczytałem, wydaje się jej mało podobne do tego, co zwykła łączyć z moim nazwiskiem. Utwory, które usłyszała, wydają się jej niezrozumiałe, a dla młodzieży — za trudne. Zniżywszy głos spytała, czy może być całkiem szczerą. — Utwory czytane przez pana — rzekła — zupełnie mi się nie podobały.

Zabrawszy głos druga nauczycielka, młodsza od poprzedniej — natychmiast urwała; ocierała łzy. Na sali zrobiło się niewyraźnie, poczułem się winny. Otartszy łzy i przeprosiwszy salę, powiedziała, że rzeczy, które usłyszała, uważa za wzruszające i najładniejsze. Co napisałem o Warszawie, to jakbym wyjął jej spod serca.

Po niej wstała wysoka, ładna dziewczyna, która uczy dopiero od roku. Przeczytała świeżo „Młode cierpienia” i prosiła, żebym jej wytłumaczył, czy „Cesarz” dzieje się w średniowieczu. Nie może sobie dać rady z tym opowiadaniem. (Było to jedno z najbardziej zdumiewających pytań, jakie doszło mnie od lat.) Potem zrozumiałem: młody czytelnik zupełnie się traci, kiedy nie chwytą realiów historycznych, a muszą to być realia, które zna; nowy czytelnik uważa literaturę za coś, co musi być wpisane w historię i w niej się wyczerpuje; każda inna literatura oszalała go. Po młodej nauczycielce mówili jeszcze inni.

Przed wszystkim zaprotestowałem przeciw niezrozumiałemu; zwróciłem się do młodzieży. Jedną z uczennic wyręcając stojące obok niej koleżkę powtórzyła jego sąd o „Józefowie”, że nic z niego nie

zrozumiał. W tym miejscu zerwał się nauczyciel języka polskiego i z oburzeniem powiedział, że mówi głupstwa.

Potem w czasie spaceru po ciemnym Piotrkowie ten sam nauczyciel powiedział mi, iż niechęć uczniów do literatury pewnego typu jest tak silna, że nie czynią żadnych różnic. Rola nauczycieli jest trudna. Często trzeba chwalić coś bez przekonania. W takich chwilach trudno patrzeć uczniom w oczy, poznają, o, te oczy!... Krytyk może zmieniać sąd co trzy miesiące, nauczyciel traci twarz.

Po wieczorze młodzież obstała mnie. Jedną z uczennic zapamiętała i pochwaliła zdanie: JEŚLI MŁODZIEŻ CHCE, TO WSZYSTKO ZROZUMIE. Tak jest! Tak właśnie jest! — wołała. Jaka szkoda, że nie przyjrzałem się tej dziewczynie, to był mędrzec! Moje pytanie, dlaczego mnie nie obronili, puścili mimo uszu, byli mądrzejsi ode mnie, taktowniejsi. W spojrzeniach, w uśmiechach, w słowach, pytaniach czułem, jak tworzy się to, co najcenniejsze pomiędzy ludźmi — most.

Również noc potem w internacie, w dawnym klasztorze dominikanów, miałem niezwykłą. Naokoło spało może sto dziewcząt. Za ścianą do późna szumiało życie sposobiące się do snu. Co jakiś czas padało pojedyncze głośnie słowo, potem szeptym znów płynęły strumyki zwierzeń. Wszystko to podważało we mnie złoża wspomnień, obudziło myśli o życiu, o czasie — gorzkie, niezwykle, ludzkie, straszliwie ludzkie. Wspomnienia z lat szkolnych przepływały się z dzisiejszymi wrażeniami. Serce to krzyczało, to płonęło w zachwycie, skakało z myśli na myśl jak po kamieniach wodospadu.

2.

Przed piątą — nazajutrz w Tomaszowie Mazowieckim — przyszedł po mnie młody, ładny B., który z ramienia nauczycieli opiekował się mną. Przyjechałem około dwunastej, miałem kilka godzin do występu i B. zaprowadził mnie do hotelu. Portier miał tylko jeden wolny pokój, trzyłóżkowy. Ten, mówił, jest także zajęty, ale inspektor wróci o siódmej, mogę się więc tymczasem przespać, umyć ręce. Za umycie rąk żądał tyle, ile za pełną dobę od trzech osób. „Co pan chce — hotel musi żyć. Przyjdzie ktoś, zechce umyć ręce, napisać liścik, zabawi godzinę, zapłaci za dobę; przyjdzie drugi, zapłaci drugi raz, trzeci — trzeci raz”.

Około piątej B. zabrał mnie z pokoju pachnącego chłodem i papierosami; wieczór miał się odbyć w świetlicy jednej z podstawowych szkół. Po drodze B. raz jeszcze wypytował o Piotrków, o nastrój, frekwencję. Bakcył współzawodnictwa działał.

Zobowiązując mnie do wyjazdu, Związek Nauczycielski powoływał się na rzecz świętą: TEREN ZAŁĄDA. Pytam B., kto mnie tu tak bardzo pragnął. B. nie wie; przynajmniej, że sam nic nie czytał, nie ma czasu, „tylko reakcja ma czas na czytanie”. Pytam go dalej, czy Tomaszów często gości pisarzy. B. pamięta dwóch — Morcinka, który ujął sobie wszystkich, i jeszcze kogoś z Warszawy, kto bardzo się nie podobał. B. nie podaje jego nazwiska.

Świetlica mieści się w podwórzu na parterze w małym urodziwej izbie. Na ławach siedzi nie więcej jak piętnaście osób. — Wszystkie średnie szkoły pojechały do Lublina na Wystawę Rolniczą — usprawiedliwia się B. — I akurat na ten dzień mnie sprowadzili — myślę sobie. — To nic — myślę dalej — wyjdiesz na remis, jeden wieczór udany, jeden nie. Ten dzisiejszy będzie należał do ODFAJKOWANYCH. Przeczytasz to, coś przywiozł, reszta nie należy do ciebie. — Nasi ludzie zawsze się spóźniają — usprawiedliwia się prezes klubu. O pół do szóstej prezes zwrócił się do zebranych: Proszę koleżeństwa zająć miejsce bliżej prelegenta. — Na obraz trzeba patrzeć z daleka — rzuciła któraś z kobiet.

3.

Wybrałem tę samą metodę co wczoraj. Czytałem Kartki unikając dłuższych. Unikalem także specyficznie pisarskich. Czytałem dłuższą chwilę, sala zachowywała się w sposób nieprzenikniony, milczała. Nie wiedziałem, czy oznaczało to aprobatę, czy sprzeciw. Bez odpowiedzi sięgałem po dalsze Kartki. W pewnej chwili, gdy podniosłem oczy, stwierdziłem, że sala się zapelniała. Przeczytałem jeszcze kilka Kartek, spytałem, czy ktoś może chce coś powiedzieć. Ta sama wstrzeźliwość słowa, co wczoraj na początku. Nie pozostało mi nic innego, jak czytać dalej.

W dyskusji potem pierwsza zabrała głos kobieta z miasta, która przysłała z ośmioletnią córką. Powiedziała, że to, co przeczytałem o Warszawie, wzruszyło ją do łez — „człowiek, jak słyszy o tych rzeczach, od razu płacze” — ale jej zdaniem nie powinno się w ogóle takich rzeczy pisać. Nie trzeba o nich mówić młodym pokoleniu, niech, lepiej nie wie o tym wszystkim, niech to razem z nami pójdzie do grobu. Podobały się jej natomiast Kartki wesole, takie lubi; życie jest smutne, w życiu dosyć zmartwień, po co je mnożyć?

Ledwo skończyła, wstała ładna trzydziestoletnia kobieta „po to, żeby zaprotestować przeciw takiemu gadaniu”. O tym wszystkim — mówiła — należy właśnie pisać, trzeba wciąż przypominać, świat nie może i „nie śmie” zapomnieć. Nasze pokolenie żyje no to, by mówić.

4.

O głos poprosił mężczyzna siedzący gdzieś w połowie sali. Mógł mieć około czterdziestu lat, barczysty, jasny, w okularach, bardzo słowiański z urody. Z początku mówił źle, gorączkował się, bez wprawy, ale w miarę mówienia głos mu się nieco oczyścił, nierzupelnie. Z początku słuchałem go tak jak innych. Rychło przecież zrozumiałem, że mam przed sobą kogoś całkiem innego. Ci, co mówili przed nim, odpowiadali jak klawisz w fortepianie. Dyskutowali kwestię, nie autora. Aby zobaczyć artystę, trzeba mieć stosunek do jego dzieła. Dla tych, co głos zabierali przedtem, sztuka była jedną ze stu spraw dnia, jedną ze stu gałęzi bujnego drzewa życia. Wkrótce nie bez bicia serca zrozumiałem, że dla tego czterdziestoletniego mężczyzny sztuka stanowi sprawę główną, a dzisiejszego wieczoru przyszedł, by posłuchać kogoś bliskiego, wybranego. Z jego słów powoli wynurzała się nasza wspólna droga — autora i czytelnika. Nakreślił tę drogę szeroko, opowiadał o wrażeniach z pierwszych książek, o pierwszych błyskach uwagi, które rozplynęły się w długim pustym czasie milczenia. Co kilka lat coś znów drasnęło jego uwagę, ale coś jakby bez siły, bez kształtu. Latami dzieliła nas mgła, lecz, dzieląc, mgła ta równocześnie przecięć łączyła. Dopiero po wojnie przekonał się ostatecznie, że znalazł człowieka, który kocha to co on, którego wzrusza to, czym najłatwiej sam bywał wzruszony.

Wszystko co ten człowiek mówił w obecności stu osób było najczystsza miłością.

5.

Wiele złego mówi się ostatnio o pisarzach. Mówią, że ludzie stracili dla nich serce. Ta prawda jest powierzchowna: kraj nie może żyć bez pisarzy, nie ma bez nich radości życia, wszyscy powinni się nad tym zastanowić. Wszędzie wypatrują artystów, wszędzie panuje głód spotkań, które przydają szarościom błękitu. Jeśli nawet są przewiny, publiczność, jeśli zechce się z czystym słowem, po godzinie zapomni. Nie ma życia bez wymiany blasków, bez krzyżowania się światła. Pisarze — nie unikajcie spotkań. Wróćcie bogatsi o świadomość, iż jesteście potrzebni ludziom, a więc — i sobie.

LIST DYREKTORA PWM DO WALDORFFA

W związku z artykułem p.t. „O teściowej Mickiewicza i teściowych muzyki” („Świat” Nr 42) — Jerzy Waldorff otrzymał następujący list od naszego dyrektora Polskiego Wydawnictwa Muzycznego, Tadeusza Ochlewskiego:

Szanowny i drogi Panie Jerzy! Pański ostatni artykuł w „Świecie” o teściowych muzyki polskiej wywołał nadzwyczajne zainteresowanie, zrobił duże wrażenie w świecie muzycznym. Doskonale napisany, z temperamentem, humorem, dowcipem! Winszuję serdecznie tego świetnego dziennikarskiego wyczynu.

Omałiamy Pana wypowiedź; chwalimy ją — lecz i nieco krytykujemy, a to za nieprzychylną ocenę „Partytury” Wrobla. Jesteśmy coraz więcej tego pewni, że słusznie postąpiliśmy, wydając tę pracę. A to przede wszystkim dlatego, że „Partytura” Wrobla miała na celu, i dokonała tego, że problemy tam poruszone są omawiane, dyskutowane. Eksperyment Wrobla — bo tak należy ujmować jego propozycję, co zaznaczyliśmy wyraźnie w przedmowie — przyniesie dalszą rozbudowę zagadnienia i jego ostateczne ukształtowanie. Zainteresowanie tą pracą jest duże, co jest potwierdzone bliskim wyczerpaniem się nakładu.

Sygnalizujemy ukazanie się w roku przyszłym: „Historii Muzyki Powszechnej” (praca zbiorowa), „Skrzypce i skrzypkowie” (Reiss), „Słowniczek muzyczny” (Habela), „Moniuszko” (Rudziński), „Noskowski” (Wroński), „Antologia polskiej krytyki muzycznej” (Jarociński) itp., itp.

Nasz plan roczny — 420 tytułów i 2.500 arkuszy wydawniczych — wykonamy. Powiększyliśmy naszą produkcję o 100% w tytułach i 70% w arkuszach wydawniczych. Pracujemy bardzo intensywnie, bo mnóstwo potrzebnych pozycji trzeba wydać. O rozsprzedaży naszych wydawnictw mówi cyfra 180 wznowień, co stanowi 11% całości wszystkich tytułów.

Na pewno robimy więcej błędów, niż Pan o nich wie — jednak swoim pozytywnym ustosunkowaniem się do naszych wysiłków dopomaga nam Pan w pracy. Za to pięknie dziękujemy i przesyłamy serdeczne pozdrowienia.

(-) T.Ochlewski

Po opublikowaniu artykułu „O teściowej Mickiewicza i teściowych muzyki” ukazała się w „Przeglądzie Kulturalnym” (Nr 44) wymierzona przeciwko Waldorffowi napastliwa notatka, która kończy się tak: „Miejmy jednak nadzieję, że PWM zignoruje „dyskusję” wydawniczą J. Waldorffa”.

Zawarte w notatce chywy polemiczne, słownictwo stoją tak dalece poniżej granicy przyzwoitości, że z autorem jej polemizować nie będziemy.

„ŚWIAT”

NASZE SYMPOZJONY

ANDRZEJ PIWOWARCZYK

RYSIA i JOLA, podobne jak siostry syjamskie, chodziły do jednej klasy gimnazjum żeńskiego. Z początku, klóćąc się z jakichś babskich zawiści, patrzyły na siebie kosym okiem — i dopiero później, a to dzięki poezji, zadzierzgnęła się między nimi olbrzymia, nierozzerwalna przyjaźń. Początki tej przyjaźni sięgały czasów, kiedy polonistka zorganizowała w starszych klasach gimnazjum żeńskiego kółko literackie, a Jola wygłosiła na jednym z posiedzeń kółka referat o Tuwimie.

— Ten referat jest do niczego, bo nie słyszeliśmy ani słowa o funkcjach społecznych poezji! — wyrwało się Rysi podczas dyskusji.

Jola oburzyła się na takie stawianie sprawy, a Rysia kontynuowała:

— Jak wiemy, z historii literatury wielka poezja kształtuje dusze całych stuleci, kształtuje język narodów, wywołuje olbrzymie przemiany społeczne, wzniesła rewolucje. Weźmy dla przykładu poezję Puszkina i Majakowskiego...

Polonistka wpadła z miejsca w panikę i w porozumieniu z radą pedagogiczną zarządziła rozwiązanie kółka... Odgłosy tej sprawy dotarły właśnie do Stefana, który był podówczas przywódcą naszej grupy i który, jako redaktor miesięcznika gimnazjalnego, cieszył się zasłużoną sławą literacką.

Obydwie koleżanki, uparte jak kozy, nie przerywając sporu mimo rozwiązania kółka literackiego w ich gimnazjum, postanowiły w pewnej chwili, że zawezwają do pomocy Stefana... Takie były początki naszych sympozjonów, bo właśnie Stefan, rozsądziwszy po mistrzowsku spór między Rysią a Jolą, zaproponował,

ażeby kontynuować działalność kółka na gruncie prywatnym. Przyjęliśmy jego projekt z pełnym zrozumieniem i z całkowitą aprobatą, tym bardziej, że to miała być jedna z bardzo ważnych form naszej agitacji. Niebawem już w mieszkaniu Rysi, a raczej ciotek, które się nią opiekowały, odbyło się pierwsze posiedzenie kilku entuzjastek i entuzjastów poezji ze wszystkich szkół średnich w naszym mieście.

Pierwsze skrzypce na tym posiedzeniu, jak i na paru następnych, grał Józek. Należał on do naszych najlepszych recytatorów. Umiał porwać za sobą słuchaczy, którzy też, patrząc na jego rozwichrzoną czuprynę i rozgorączkowane oczy, otwierali z zachwytu usta.

Akcja sympozjonów, przynosząca naszej zakonspirowanej grupie niemałe korzyści natury moralno-politycznej — rósł bowiem nasz autorytet — była w pełnym toku; trwała już kilka miesięcy, kiedy właśnie Józek zaczął „szpetnie nawalać“.

Grupa zbierała się, jak zawsze, w domu jego rodziców za miastem. Toczyliśmy we własnym gronie ożywione dysputy polityczne i społeczne, przerabialiśmy „Manifest Komunistyczny“ i zagadnienia ekonomii, poświęcając zresztą wiele uwagi sprawom aktualnych wydarzeń. I tylko „na odcinku poezji“, jeśli chodzi o Józka, działo się źle. O ile dotąd był on obok Rysi duszą sympozjonów — teraz czas wolny od nauki i zebrań spędzał w stodole przy domu, gdzie urządził sobie warsztat. Przeprowadził tam w niezbyt legalny sposób przewody elektryczne i budował całymi dniami coś, co miało być ósmym cudem świata.

Oglądałem parokrotnie wielką, drewnianą skrzynię, wypełnioną różnego rodzaju lampami, kondensatorami, oporami i czymś tam jeszcze. Podobał mi się labirynt srebrnych i kolorowych drutów, które miały połączyć warsztat Józka z Australią i Ameryką. Ale to wszystko przez długie tygodnie nie wydawało z siebie żadnego ludzkiego głosu. Kiedy Józek nastawiał swój aparat, z reguły zaczynało się w podwórzu wycie czulego na zasady harmonii Burka — poza tym wysiadujące doład spokojnie na stodole kawki odlatywały w popłochu do pobliskiego lasu.

— Widzę ja, że z tego będzie jeden pożytek: postawisz mi tę skrzynię. Jak tylko zaczną dojrzywać czereśnie — i będziemy mieli spokój z płactwem — odezwał się kiedyś ojciec Józka.

Józek nie zwrócił wcale uwagi na rzeczową propozycję ze strony ojca, a tylko poinformował mnie to-nem znawcy:

— Dziś jest paskudna pogoda i mamy fading, czyli zanik fal. Ale następnym razem usłyszysz! — wysunął w ręce koniuszek języka majdrował coś długim śrubokrętem we wnętrzu swego aparatu.

Pogoda była, moim zdaniem, piękna: świeciło słońce, kwitły drzewa po okolicznych sadach i brzęczały opite miodem owady. Po- ra w sam raz odpowiednia dla poezji. On jednak świata nie widział: wpatrzony był w swoją skrzynię, w której ryczały i skrzeczały podbiegunowe wichry... Na dobitkę złoego mruczał pod nosem, że to właśnie nasze poetyzowanie jest bez sensu. Mysmy to samo mówili z naszej strony o jego zajęciach.

Organizatorem i osobą odpowiedzialną za organizację życia kulturalnego naszej grupy była Rysia — i na jej prośbę próbowałem rozmawiać z Józkiem, usiłując „zaktywizować“ go znowu do czynnego udziału w naszych sympozjonach. „Fracja poetyczna“ złożona z członków

grupy przechodziła właśnie okres kryzysu. Tadek chorował, ja miałem mutację głosu i recytowanie wierszy wydobywających się z mojego gardła przypominało dźwięki wydawane przez to nieszczęsne radio w stodole. Marian zajmował się pisaniem jakichś niezwykle skomplikowanych studiów socjologicznych — i ani do niego dostap. W tej sytuacji pomoc Józka w przygotowaniach do najbliższego sympozjonu, który mieliśmy poświęcić wojnie domowej w Hiszpanii, była naprawdę konieczna.

— Mówi, że ma ważniejsze sprawy na głowie i że niedługo zobaczymy, a raczej usłyszymy, rezultaty jego wysiłków — informowałem Rysię po bezskutecznych rozmowach z Józkiem.

Rysia, złościąc się niesamowicie, była zdania, iż Józek „wymiguje“ się od zadań wyznaczonych mu przez całą grupę:

— Musimy postawić tę sprawę na zebraniu i to bez względu na to, że celuje w ekonomii i że zebrania odbywają się w jego domu! — zadecydowała wreszcie stanowczym głosem.

Tymczasem zaś przygotowaniem naszego „hiszpańskiego sympozjonu“ musieliśmy się zająć oboje, wciąż gając do pomocy Jolę. Dowiedziałem się przy tej okazji kilku interesujących szczegółów z okresu, kiedy Jola i Rysia chadzały jeszcze własnymi drogami, nie przypuszczając ani na chwilę, że istnieje jakaś zakonspirowana grupa i że będą do niej należeć...

— Czyta pani Tuwima i zachwyca się wierszem o tym, jak „Wenus miała szesnaście lat“, a nie odczuwa pani znajdującego się w tym samym tomie wiersza „Do prostego człowieka“ — mówił z wyrzutem do Joli Stefan (początkowo rozmawiał z Jolą per pani). Jola pożyczala zaraz od Rysi „Biblię cygańską“ Tuwima i czytała słynny wiersz „Do prostego człowieka“.

W okresie karnawału, na potańcówkach u wspólnych znajomych, Stefan „czarował“ Rysię i Jolę znakomitymi fox-trottami, pod których melodię podkładał najbardziej „rewolucyjne“ teksty słowne. Nie wierząc „sekiarskim teoriom“, głoszycym, że taniec i zabawa są przeżytkami burżuazyjnymi, Stefan uczęszczał potajemnie na kursy tańca, prowadzone na Starym Mieście przez jakiegoś zapoznanego wodzireja... Właśnie dzięki Stefanowi członkowie naszej grupy nauczyli się w pewnym okresie skoczno go fox-trotta, który — jak chyba żaden inny — „chłostał rzeczywistość biczem zjadliwej satyry“. Słowa tego fox-trotta brzmiały:

Na Placu Piłsudskiego
muzyczki marsza różna —
to wódz państwa polskiego
przełaga armię swą.

Dyrektor w gabinecie
kolację smaczną tka,
bo dobrze mu na świecie:
waleczną armię ma.
A gdy spod ciężkich tanków
robocza tryśnie krew,
w salonach giełd i banków
rozlega się ten śpiew:
(Refren):
Wojna — muzyczka marsza gra!
Wojna — pieniążki sypią się!
Wroga — bij w imię Boga,
„Ojczyźnie“ oddaj życie twe!

Rysia i Jola były prawdopodobnie bardziej wstrząśnięte stylowym „podrygiwaniem“ Stefana, aniżeli jego baranym głosem. Jednakże coś do ich świadomości ze swoistych tekstów fox-trottowych Stefana musiało dotrzeć, skoro łapaliśmy później obie koleżanki na tym, jak sobie nuciły cytowane wyżej strofy.

Stefan dostarczył Joli i Rysi, znającej tylko jeden czy dwa wiersze Broniewskiego, odpis „Ostatniej wojny“; w rezultacie obie koleżanki stały się zagorzałymi pacyfistkami. Teraz z kolei Stefan przekonał Rysię i Jolę, że są różne pacyfizmy i różne wojny; sprawiedliwe i niesprawiedliwe. Idąc tą drogą Rysia i Jola stały się niebawem, i chyba ku swemu zdumieniu, pełnowartościowymi członkiniami naszej grupy.

Rysia, oprócz funkcji organizatora naszego życia kulturalnego, pełniła też funkcję archiwariuszki. Przechodziły przez jej ręce wszystkie lewicowe pisma społeczne i literackie tamtego okresu. Ona też, pozostając w konszachtach z kolporterem, zajmującym się rozsprzedażą wydawnictw, będących na indeksie „Ruchu“ — informowała nas o ukazywaniu się nowych numerów i tytułów. Pojawiały się od czasu do czasu wydawnictwa, które policja likwidowała już w kioskach ulicznych. Trzeba więc było dobrze uważać, by któregoś nie przegapić.

Oprócz bieżących egzemplarzy „Lewara“, „Oblicza Dnia“.



„Poprostu“, „Sygnałów“, „Lewego Toru“. „Szpilek“ i innych — te pisma były nabywane ze składek członków grupy — Rysia przechowywała archiwalne egzemplarze czasopism nie wychodzących już, względnie nielegalnych: mieliśmy kilka starych numerów „Nowego Przeglądu“, „Czerwonego Sztandaru“ i dwa czy trzy numery „Towarzysza“, które były posklejane przezroczystymi paskami jak najbardziej wartościowe dokumenty (co się tyczy wydawnictw książkowych — to tymi administrował Tadek).

Przygotowując więc nasz „hiszpański sympozjon“ sięgnęliśmy w pierwszym rzędzie do własnego archiwum. W paru numerach „Ochoтника Wolności“, który przyszedł z Paryża, przesłany nam przez naszego pierwszego instruktora z ramienia Partii, towarzysza „Bohdana“, znaleźliśmy kilka wierszy Jana Wyki. Z „Lewara“ mieliśmy piękny wiersz Edwarda Szymańskiego, zaczynający się od słów „Dojrzewają w Tulonie winogrona czerwone“... Jola przygotowała „Grenadę“ Tuwima. Ja mimo mutacji głosu nauczyłem się wiersza Szenwalda pod tytułem „Życzenie“ (wiersz ten miał swój pierwodruk bodajże w „Robotniku“). Nie zbrakło nam, rzecz jasna, dwu wspaniałych wierszy hiszpańskich poetów, który był dla nas równy Mickiewiczowi — wierszy Władysława Broniewskiego. Rysia zajęła się ze swojej strony przygotowaniem krótkich informacji, dotyczących losów poezji i poetów Hiszpanów, którzy walczyli po stronie Republiki, przeciw generałowi Franco.

Całość programu — tak nam się przynajmniej wydawało — przedstawiała się niezwykle okazale. I oto niebawem, mimo że brak nam było Józka i dotkliwie odczuwaliśmy jego nieobecność w naszych poczynaniach — można było przystąpić do werbunku słuchaczy.

— Pamiętaj, że to jest sprawa bardzo poważna i że właściwie odpowiadasz za to głową — kłarował mi Stefan, który, sporządzając w tym czasie ściągaczki maturalne, sam nie mógł zajmować się wszystkimi sprawami grupy. — To jest rzecz o tyle poważna, bo w ten sposób rozpoczynamy akcję naszej pomocy dla Czerwonej Hiszpanii...

To samo mniej więcej mówił nasz ówczesny instruktor towarzysz Binem — i naprawdę staraliśmy się z Rysią i Jolą, ażeby wszystko było „dopięte na ostatni guzik“.

Podobnie jak wszystkie poprzednie sympozjony, tak i ten nasz „hiszpański sympozjon“ miał się odbyć w mieszkaniu Rysi, a raczej w mieszkaniu ciotek, które się nią opiekowały. Okna tego mieszkania wychodziły na ogród farny, rozświegotany zawsze tysiącem głosów ptasich, wiosną i latem pachnący kwitnieniem kasztanów i akacji...

Werbunek sympatyków, którzy zresztą nie mieli pojęcia o istnieniu grupy, ani o naszej konspiracji — wypadł pomyślnie. W niedzielę do południa Rysia w charakterze gościnnej gospodyni usadowiła w fotelach, fotelikach i na kanapie pokoju, nazywanego „salonem“, kilkanaścioro młodszych i starszych koleżanek i kolegów, chętnych posłuchania poezji...

Nie mieliśmy się czego powstydić. Ten nasz kolejny „hiszpański sympozjon“ wywarł na wszystkich zgromadzonych olbrzymie wrażenie... Zaraz po zakończeniu recytacji i po krótkim komentarzu politycznym, ujętym w miarę bezpieczne słowa — przystąpiono na miejscu do gromadnego odpisywania „Grenady“. W ciągu najbliższego tygodnia można też było posłuchać, jak recytowano na korytarzach szkolnych światoburczą strofę:

...ja chate-m porzucił
i walczyć szedł potem,
bo ziemię w Grenadzie
ja oddać chcę chłopom!

i recytowano też, może nawet nie bardzo zdając sobie sprawę ze znaczenia tych słów:

...rwą się pociski ponad Madrytem,
czerwień republik krwawi się zabarwia.
Chwała poległym, słowa zabitym,
broni walczącym — Arriba parias!

Deklamacja wiersza Szenwalda wypadła niestety blado. Albo wiersz był trudny do recytacji, albo też nie umiałem go po prostu recytować? Rysia twierdziła w każdym razie, że to wina Józka. Była znowu zdania, że stanowczo powinniśmy go pociągnąć do odpowiedzialności za złamanie dyscypliny organizacyjnej, za niewykonanie nałożonych na niego przez grupę obowiązków... Tymczasem jednak zbliżał się koniec roku szkolnego. Zając intensywnym przygotowaniem się do egzaminów końcowych odkładaliśmy sprawę Józka na później. Ograniczyliśmy naszą działalność właściwie tylko do zebrania płonów ostatniej akcji: do zbiórki pieniężnej na rzecz Hiszpanii.

Prawie w przededniu rozdania świadectw — Rysia, znacznie starsza ode mnie, piękna i smukła dziewczyna o marzących oczach i łagodnym owalu twarzy — przyniosła mi, jako głównemu skarbnikowi, dwa złote. Kiedy przysiadając w parku na ławce „zaksięgowałem“ jej dar — wręczyła mi dodatkowo dwie srebrne pięciozłotówki z symbolicznym nieomal rysunkiem płynącego okrętu.

— To od moich obydwu ciotek — powiedziała z nutą radości w głosie.

Zmieszałem się i nie bardzo wiedziałem, co począć — toteż natychmiast uzupełniła swoje słowa wyjaśnieniem:

— Dały od serca, więc trzeba brać...

Dopiero trochę później wyjaśniło się, że obie ciotki



pod wpływem Rysi przeczytały jeden z hiszpańskich reportaży Ksawerego Pruszyńskiego i podsłuchiwały także z sąsiedniego pokoju nasze recytacje... Te dwie pięciozłotówki, pochodzące od niewątpliwych burżujek, moim zdaniem wymagały jednak jakiegoś „usankcjonowania“. Co do datków koleżanek, kolegów i sympatyków, a złożyli się prawie wszyscy uczestnicy naszego „hiszpańskiego sympozjonu“ — nie było najmniejszych kłopotów... Nie wiedząc, jak z podobnej sytuacji wybrnąć, zwróciłem się z moimi wątpliwościami natury etycznej i moralnej do Stefana. Stefan i towarzysz Binem rozwiązali dylemat bardzo prosto: należało przyjąć!

— Pamiętaj, że Front Ludowy i Front Młodego Pokolenia — to nie tylko klasa robotnicza, ale wszyscy, którzy są przeciw wojnie i przeciw faszyzmowi — upomniał mnie przy okazji towarzysz Binem; zaś Stefan zdobył się na dowcip:

— Zobaczysz jeszcze, że ciotki Rysi będą pierwszorzędnymi kierowniczkami w naszych krawieckich arтелях!...

2.

Ciotki Rysi to był jak gdyby osobny rozdział, osobny nurt naszych wszystkich spraw mniej lub więcej związanych z urządzaniem sympozjonów... Były znanymi modystkami, a ich pierwszorzędny, „renomowany“ zakład modniarski znajdował się przy Placu Trzeciego Maja, w sercu miasta.

Jedna z dwu ciotek pracowała kiedyś u Hersego w Warszawie — i temu należy przypisać niezwykle, jak na powojnę, powodzenie firmy... Chłopcom, a może i mężczyznom, nazwisko Herse — mnie znane z rozmów z Rysią — było raczej obojętne. Natomiast dla dziewcząt — to było „coś“! To był szczyt elegancji!

Pewnego razu złapał mi Jolę na tym, jak zamiast słuchać referatu przeglądała pod stołem u Józka żurnale, które jej Rysia przyniosła do przejrzenia. Stefan, przewodniczący zebrania, rznął zarówno Jolę, jak i Rysię. Jola zaczerwieniła się i zwinęła pakunek; natomiast Tadek miał możność zauważyć z przekąsem, że „baby pozostaną zawsze babami“...

Obydwie ciotki Rysi, stare panny, które przelały na nią swoje instynkty matczyne — Rysia była sierotą — nie różniły się od siebie ani wyglądem, ani ubiorem. Obie wysokie, tykowane, w czarnych sukniach, pochyłe, zawsze na niskim obcasie — zdawały się ignorować osobiście to wszystko, co wiązało się z postępek w modzie. Noszące na głowach zawieszane kapelusze, z ogromnymi rondami, przebite olbrzymią szpilą — należały do najbardziej charakterystycznych postaci śródmieścia. Jego panorama bez ich figur byłaby na pewno szara i nijaka... Kiedy obydwie z nieodłącznymi parasolkami, trzymając między sobą Rysię, wyruszały z nią na spacer w niedzielne popołudnia — inni mieszczanie rozstępowali się z szacunkiem i pochylali głowy. Bili od tych starych panien majestat...

Pozory myliły jednak, bo w domu u ciotek Rysia cieszyła się pełną wolnością. W pokojach pełnych pluszowych albumów z podobiznami bliźszych i dalszych antenatów panował liberalizm. Jakże bardzo kontrastowały rewolucyjne wiersze naszych sympozjonów ze staromodnymi kanapami, z sekretkami, na których stały miśnięskie figurki, ze ścianami, na których wisały

sewrskie i wedgewoodzkie talerze!... Wydawało mi się kiedyś, że to wszystko jest jednym z licznych przesądów burżuazyjnych. — I zdenerwowałem Rysię nieprzemyślaną uwagą, że żyje jak w rupieciarni. Na to padło z jej ust powiedzenie:

— Jako rewolucjonista powinieneś mieć trochę pojęcia o kulturze materialnej burżuazji i o naszym stosunku do dorobku kulturalnego całej ludzkości... Czy ty wiesz, jak postępował Lunaczarski w dniach Rewolucji Październikowej? Czy ty wiesz, że za niszczenie takich — według twoich słów: skorup — szło się „pod stienku“?

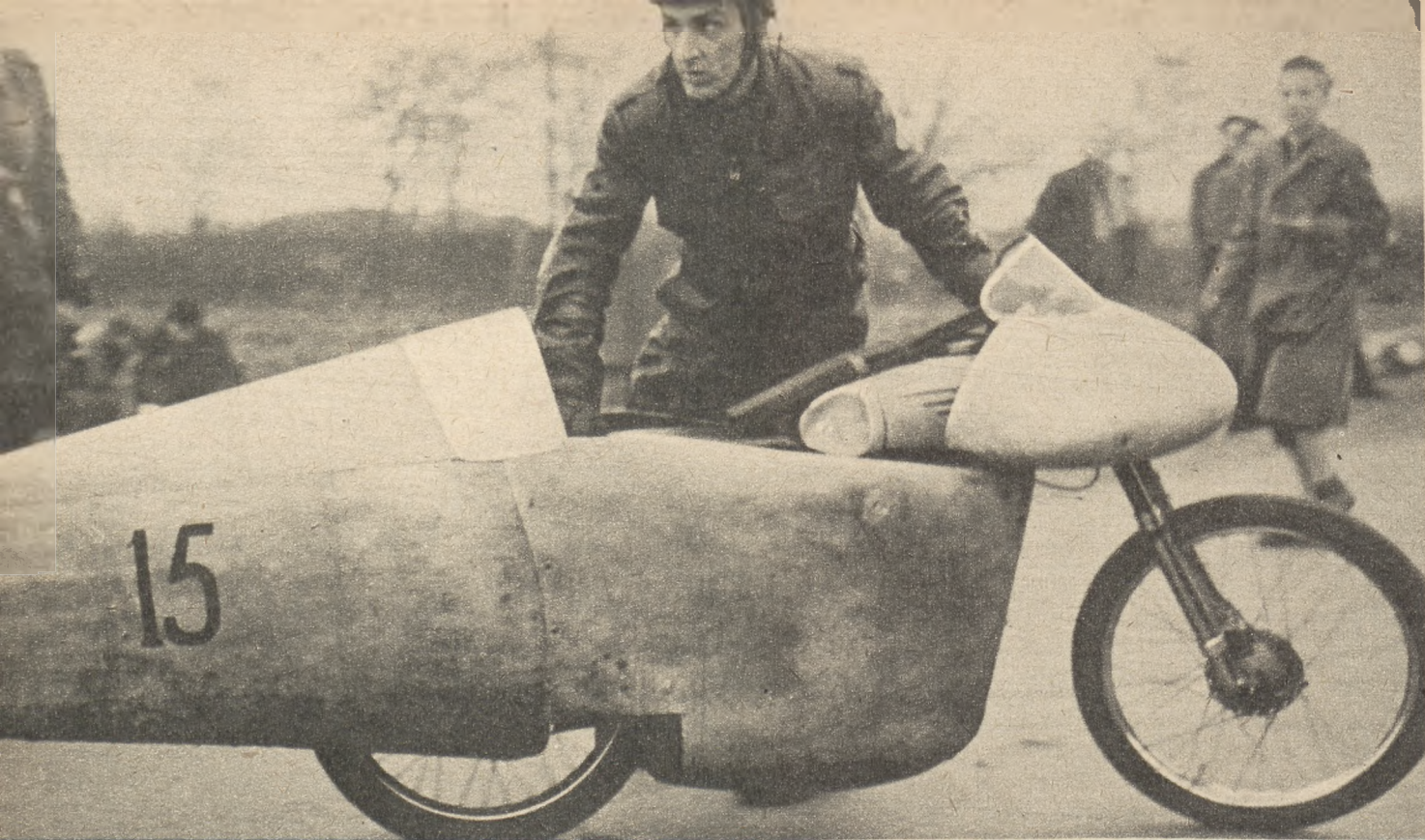
Byłem tym „zbudowany“ i później już z pietyzmem oglądałem tkwiące w serwantkach u ciotek Rysi starą porcelanę i stare, zielone szkło, a ciotki wyjaśniały mi przy okazji, skąd co pochodzi. Były dosyć pilnymi czytelniczkami ówczesnej prasy literackiej — toteż bez zbytnich trudności znajdowaliśmy z nimi wspólny język. Nie widziały nic złego w tym, że Rysia zaczęła kiedyś „podczytywać“ abonowane dla poczekalni „ch zakładu modniarskiego „Wiadomości Literackie“. Ponieważ zainteresowała się poezją — pozwoliły jej kupować w miejscowych księgarniach tomiki w wydaniu Mortkowicza, a jeżdżąc do Warszawy wyszukiwały w antykwiariatach książki niedostępne w bieżącym handlu księgarskim, względnie wyczerpane już, jak na przykład wiersze Majakowskiego, dzięki którym Rysia pokłóciła się z Jolą i poczuła Stefana... Nie uszło uwadze ciotek, że ich wychowanka należy do naszej grupy i chodzi pilnie na zebrania u Józka. Nie widziały w jej postępowaniu nic złego. — Czy ciotki zdawały sobie sprawę z faktu, iż w ich mieszkaniu przy farze znajduje się nasze archiwum? Na pewno tak, choćby im nawet Rysia nie powiedziała...

...W czasie nieco późniejszym, jakkolwiek nie odbywaliśmy już sympozjonów, doszedłszy do wniosku, że ta forma agitacji jest jednak bardzo niebezpieczna — i dlatego bo lokal u ciotek przejęli już starsi towarzysze — obie ciotki otrzymały zaszczytny tytuł „słonie“. Słoniami względnie mamutami nazywali się ci, którzy sami nie robili nic, ale na których pomoc można było zawsze liczyć.

3.

Przeszły wakacje, podczas których nie odbywaliśmy zebrania grupy, ponieważ większość koleżanek i kolegów znajdowała się poza miastem. W połowie września, jak i w poprzednich kilku latach, otwierając nową serię zebrania u Józka i „porządkując“ nasze zaległości organizacyjne natrafiliśmy z Rysią znowu na ten pozornie zapomniany fakt, iż Józek nie wykonywał od dawna poleceń grupy i uchylał się od powierzonych mu obowiązków. Powinien był dbać o programy sympozjonów i ich należyte przygotowanie razem z Rysią. Zajął się jednak: nie tylko nie chciał słuchać naszych wyrzutów, ale i odmawiał złożenia, koniecznych chyba w takim wypadku, samokrytycznych wyjaśnień. Pojawił się wprawdzie pewnego dnia w pepesiackim „Domu Robotniczym“ na Placu Jagiellońskim, gdzie odbywał się wieczór poetycki Mariana Kubickiego i Edwarda Szymańskiego — jednakże o naszych własnych sympozjonach ani chciał słuchać!

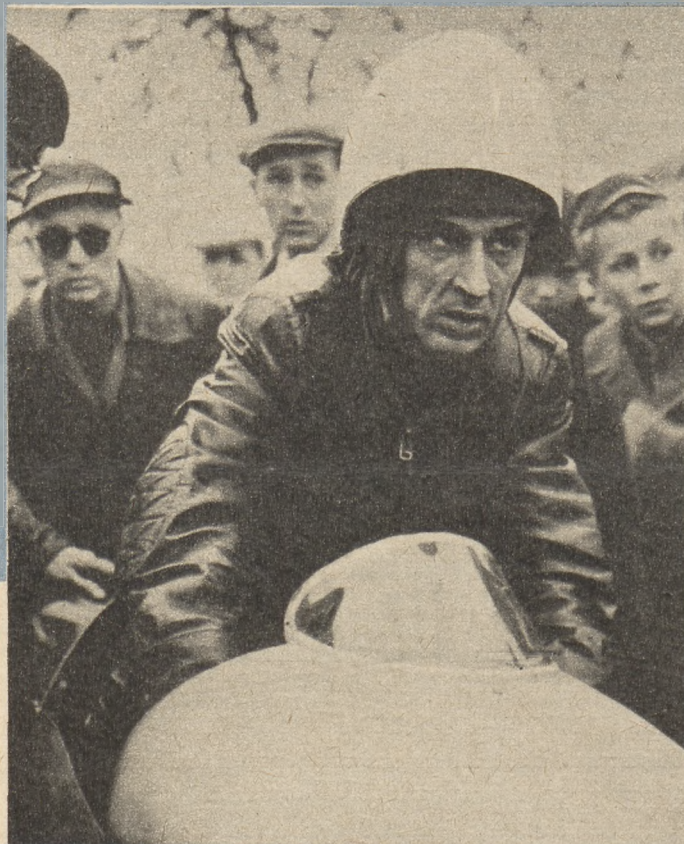
Dokończenie na str. 21



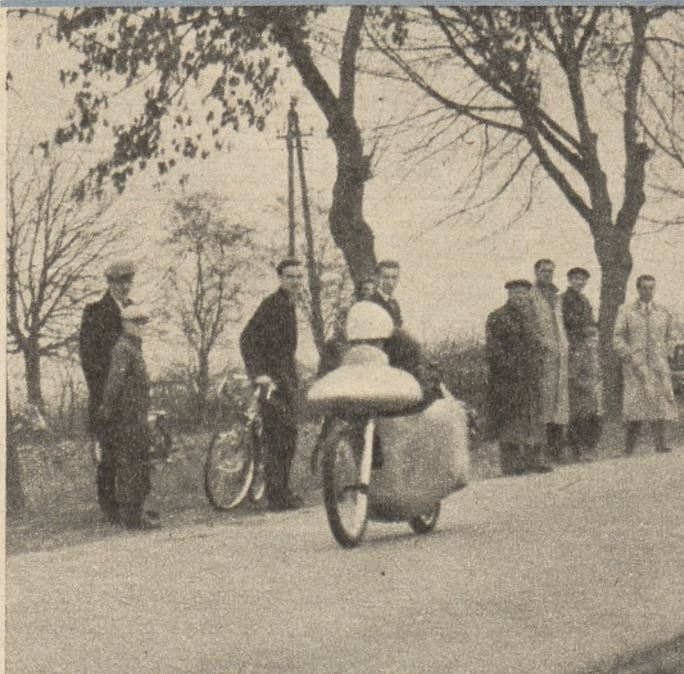
Nie wystarczy przyszykowanie silnika. Aby na próbach wycisnąć z motocykla pełną szybkość, aby pobić rekord — trzeba zaopatrzyć go w specjalną, opływową obudowę, stawiającą możliwie najmniejszy opór powietrza. Czy to ma duże znaczenie? Tak, tutaj aerodynamiczna karoseria zwiększa bowiem szybkość o przeszło dziesięć kilometrów na godzinę!



POJEDZIEMY JESZCZE SZYBCIEJ!



Za chwilę start. Brun czeka tylko na telefoniczną wiadomość, czy szosa wolna. Jest skupiony, czujny! Drugi przełot musi być jeszcze szybszy! Atak na rekord musi się udać! Trzeba go wyśrubować możliwie wysoko!



Szosa wolna! Srebrna, obła maszyna sunie po betonie. Za chwilę sędziowie puszcza w ruch stopery. Zatrzymają je za dwadzieścia osiem sekund i zanotują w protokole, że ustanowiony został nowy rekord Polski!

Fot. K. JAROCOWSKI JERZY PRZYBOROWICZ

KRÓL JEST NAGI!

czyli

ZAPRASZAMY DO DYSKUSJI

O D LAT tkwimy w szponach fikcji, której na imię sport szachowy. Od lat z uporem maniaków usiłujemy czystą, myślowy proces, jakim jest gra w szachy, nagiąć do paragrafów kultury fizycznej. Od lat twierdzimy, że król jest ubrany we wspaniałe szaty.

A tymczasem król jest nagi. Nagi, jak ogórek!

Mieszanie pojęć nie prowadzi do niczego z wyjątkiem nieporozumienia, a specyfika pewnych czynności obowiązuje. Kilkugodzinne śledzenie nad szachownicą i przedstawianie poszczególnych figurynek z miejsca na miejsce jest czynnością umysłową i nie istnieje w naturze argument, który by kogokolwiek przekonał, że jest to czynność fizyczna. Cudów nie ma!

Dlaczego nikomu nie przyjdzie do głowy nazywanie sportem bilardu, brydża czy rozwiązywania zagadek? Dlaczego usiłujemy z najmilszego na świecie mistrza Gawlikowskiego zrobić sportowca, kiedy on sportowcem nie jest, nie będzie i przypuszczalnie nie ma najmniejszej ochoty nim być? Dlaczego podporządkowujemy szachy Głównemu Komitetowi Kultury Fizycznej?

Szurkowane mięśnie i zapadła klatka piersiowa dyskredytują biegacza czy miotacza, ale wcale nie przeszkadzają w osiągnięciu najwyższej klasy szachowej. Można być tytanem krótkowzrostu, a jednak przynajmniej nie dotknąć stopą boiska. Tu, na wyżynach spekulacji myślowej nie decydują grube łydy — decyduje sprawny, wygimnastykowany mózg.

Prawda, wydawałoby się, prosta i nie podlegająca dyskusji, a jednak nie się w tej dziedzinie nie zmienia. Czyżby istniał jakiś nader ważki powód, dla którego szachy znalazły się w zakresie działania Głównego Komitetu Kultury Fizycznej?

Może zadecydował element współzawodnictwa? Mamy przecież szachowe mecze, turnieje, mistrzostwa, olimpiady; mamy mistrzów, arcymistrzów, mamy punktacje i eliminacje...

No i co z tego? To tylko kwestia nomenklatury. Mamy współzawodnictwo pracy, olimpiady matematyczne, mistrzów szybkich wytopów, eliminacje zespołów artystycznych i konkursy szopenowskie, a jednak żadnego uczestnika tych konkurencji nie nazwiemy sportowcem. Rzecz nie w terminologii, lecz w pojęciu.

Argumenty tych szachistów, którzy nie wiedzą dlaczego chcą być uważani za sportowców, znamy dobrze: że kilkutygodniowy turniej jest dużym wysiłkiem fizycznym, że dla szachisty niezbędna jest kondycja, że trening dobrze szachisty nie powinien się ograniczać wyłącznie do manipulacji figurami, że to, że tamto...

Wszystko to jest prawdą, tym bardziej oczywistą, że dająca się zastosować nie tylko do szachisty, ale do każdego śmiertelnika. Każda czynność pochłania energię fizyczną, każdemu potrzebna jest kondycja i dla każdego sport powinien być cennym uzupełnieniem normalnej pracy. Dlaczego robić wyjątki dla szachistów?



Rys. B. Butenko

Przyznam wprawdzie ze skrucą, że pojedynki o mistrzostwo świata między Botwinnikiem a Smyslowem śledziłem z najwyższym zainteresowaniem, ale równie gorąco będę się emocjonował konkursem szopenowskim.

Mimo że nie gram ani w szachy, ani na fortepianie. No więc co? Jak ustawić te nieszczęsne szachy?

Najlepiej zgodnie z logiką. Najpierw wywołuję je spod władzy GKKF-u, która to władza — jak wynika z artykułu J. Stareca w „Trybunie Ludu” (nr 297) — przynosi o wiele więcej szkody niż pożytku, a następnie pozwól szachistom rządzić się samym. Ze obłędny pomysł? Możliwe, ale za to słuszny. Konia szachowego z rzędem pionków temu, kto wynajdzie lepszy. Potrafią rządzić się sami myśliwi w Polskim Związku Łowieckim, potrafia motorowcy w Polskim Związku Motorowym, potrafia turyści w Polskim Towarzystwie Turystyczno-Krajoznawczym — dlaczego nie potrafiliby szachiści w Polskim Związku Szachowym?...

Pewien jestem, że potrafia i to znacznie lepiej niż to robi GKKF. Trudno o większych entuzjastów niż szachiści, któż więc lepiej od nich zda sobie sprawę z ogromnej roli szachów w dziedzinie wychowania kulturalnego mas. Uwolnieni od bezmyślnych biurokratów, którzy wtłaczają ich w nieodpowiednie, sztuczne ramy — będą mogli o niebo owocniej spełniać swą ważną społeczną funkcję.

Ubiemy więc naszego golasa, ale nie ubierajmy go, na Boga, w majtki gimnastyczne! Sprawmy mu uczciwe, dobrze skrojone spodnie.

TOMASZ DOMANIEWSKI

FOTO

KORESPONDENCI DONOSZA

KANDYDAT MARIA KOŻAŃSKA

Kandydatem na radnego do Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze wybrana została między innymi właścicielka kilkuhektarowego gospodarstwa rolnego w Strzelcach Krajeńskich, ob. Maria Koząńska, znana w całym powiecie jako wzorowa hodowczyni.

Gospodarstwo swoje ob. Koząńska rządziła głównie na hodowlę trzody chlewnej i drobiu. W roku bieżącym odstawiła już ponad pięć tysięcy tuczników.

Ob. Koząńska jest członkiem zarządu powiatowego ZSCh i wkiada wiele pracy w mobilizację chłopów swego powiatu do podniesienia hodowli i pełnego wykonania planów obowiązkowych dostaw dla państwa. Za zasługi w pracy społecznej odznaczona została Srebrnym Krzyżem Zasługi.

— Na Ziemi Zachodniej przyjechałam z jedną walizką — mówi ob. Koząńska. — Dzięki pomocy, jaką otrzymałam od państwa, a ponadto dzięki opiece, jaką otaczała mnie starosta Powiatowa Rada Narodowa, zagospodarowałam się bardzo szybko. Z gospodarstwa osiągam już niezłe dochody. Słowem — powodzi mi się dobrze. Jeśli zasiądę jako radna w Wojewódzkiej Radzie Narodowej, zwiększę jeszcze bar-



Ob. Koząńska — kandydatka na radną

dziej swoje wysiłki, by uświadomić chłopów o konieczności lepszej uprawy ziemi i zwiększenia hodowli.

Taki jest kandydat na radnego WRN w Zielonej Górze — obywatelka Maria Koząńska.

H. Lipiński, Zielona Góra

ZABYTKI NIE PODLEGAJĄCE OCHRONIE

Przy ulicy Szklarskiej w Kaliszu stoi jednopiętrowa ruina. Stary, czynszowy dom, jakich wiele było w robotniczych dzielnicach wszystkich miast polskich, rozpada się. Na wysokości pierwszego piętra odchylenie ścian wznosi ok. 10 cm. Od upadku chronią go dość prymitywne drewniane zabezpieczenia. W domu tym miesz-

ka jeszcze dotychczas kilka rodzin, które jak najszybciej należy przenieść, a cały „zabytek” kapitalistycznego budownictwa — zlikwidować.

Czyby ruina ta stanowiła dla Miejskiej Rady Narodowej tak cenny i osobliwy dokument przeszłości Kalisza, że trzeba go jak najdłużej zachować?

R. Mielczarek, Kalisz



I pomyśleć, że tak kiedyś wyglądały nasze miasta...

ROWIESNIK POLSKIEGO KOMITETU WYZWOLENIA NARODOWEGO

Ponad 3 tysiące absolwentów opuściło już mury Uniwersytetu im. Marii Skłodowskiej-Curie w Lublinie. Wielu z nich przynosi zaszczyt nauce polskiej, o czym świadczą nagro-

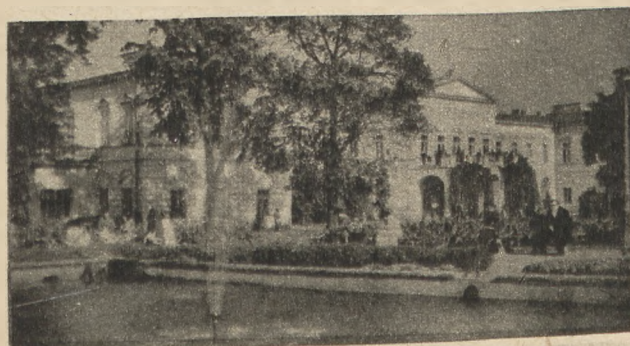
dy i odznaczenia przyznawane naukowcom Uniwersytetu Lubelskiego.

Z okazji 10 rocznicy lubelskiej uczelni wiele wyższych zakładów naukowych w kraju

i za granicą nadesłało telegramy gratulacyjne.

Uniwersytet im. Marii Skłodowskiej-Curie w ciągu 10 lat swego istnienia wyłonił już nową uczelnię — Akademię Medyczną, a w najbliższym czasie, jak oświadczył min. Szkolnictwa Wyższego, Adam Rapacki, z istniejącego obecnie wydziału rolnego rozwinie się jeszcze jedna wyższa uczelnia — Wyższa Szkoła Rolnicza. Dzięki temu szybkiemu rozwojowi szkolnictwa wyższego na terenie miasta PKWN, Lublin stanie się wkrótce jednym z najważniejszych ośrodków nauki w kraju.

W. Marek, Lublin



Gmach Uniwersytetu Lubelskiego

O OLTUSZYKU, STAROŚCI I NARODZINACH KANAŁU



Teodor Oltuszyk

O Teodorze Oltuszyku z Kwasówki, który pracuje przy budowie kanału Wieprz-Krzna, opowiadano mi bajkę. Powtórzę Wam ją:

Pewnego razu wyszedł Oltuszyk przed świtem na pole i kalkulację, jakby mu wdrzeć parę korcy siana więcej niż zwykle daje. Patrzy, a tu przed nim z mgły wyłania się zgarbiona kobieta i powiada: „Calkiem o mnie zapomniesz, Teodorze, choć ci siedemdziesiątka na kark wzięła. Nie poznajesz mnie? Jestem Starość. Przypominam ci, że robotę musisz zostawić młodym”.

Oltuszyk łobuzersko mrugnął okiem, ucałował kibiśnię za chudy łokieć i dawał ciągnąć ją pod stóg siana. Wdzi Starość, że nie przelewkę, bo z Teodora chłop krzepki, wydarła mu więc tylko że ła garść włosów i zniknęła we mgłę.

Od tej przygody Oltuszyk stał się taki robotny, jakby mu pół wieku ubył.

Tak wygląda owa bajda o Oltuszyku, która z bajki zaczerpnęła tylko alegoryczną postać Starości. Co w niej należy do fantazji, osądzić zresztą sami.

Teodora Oltuszyka poznałem na drelowskim odcinku budowy Kanału Wieprz — Krzna. Przyjechał do Drelowa wraz z innymi gospodarzami z okolicy o 6 kilometrów Kwasówki, aby pomóc sąsiadom.

Teodor Oltuszyk z Kwasówki, jak i gospodarze z innych gromad: Zahajek, Zerocina, Łózek — nie są bezpośrednio zainteresowani w budowie tej wielkiej arterii wodnej. Kiedy jednak — w oparciu o kanał powstaną wielki system wodny, wywrze on niewątpliwie dobroczynny wpływ i na ich łąki. Rozumieją to chłopci Zahajek, Zerocina, Łózek... rozumie to i Oltuszyk i jego sąsiedzi z Kwasówki. Teraz przecież sprzął siana w Kwasówce wygląda — powtarzam za Oltuszykiem — jak postrzyżyny tygo. — Machniesz kosą i nie widać, czy co z niej zleciało. Na dwuhektarowej łące

Oltuszykowego sąsiada, Aleksandra Kubika, w ogóle nie zabrzęczała w tym roku kosa. Nie było co kosić, a w niezbyt odległej Rzeczycy, gdzie przeprowadzono już meliorację, chłopci zbierają po 80 kwintali wybornej koniczyny, kiedy dawniej nie mogli zebrać nawet 8 kwintali mchów i ostrej turzycy. Łąki Drelowa i Kwasówki wydają kiedyś tyle samo — krowom wyrównają się boki, nabrzmieją wymiona.

Po krótkim obiedzie przystąpiono znowu do kopania. Białe paliki biegnące jasną wstążką przez łąki wytyczyły pracę chłopskim łopatami.

Teodor Oltuszyk śmigłym ruchem wprawnego kopacza walił ziemię między gnojowicę wozu. Niektórzy pokpiwali, że Oltuszyk nie tyle z serca, ile z pragnienia po śledziku (którego dziś zjadł) chce jak najprędzej dokopać się wody.

Obok Oltuszyka pracowali przedstawiciele trzech pokoleń Łózek — dziad, syn i wnuk Smotrowie, oraz młody Janek Marczak. Wszyscy współpracownicy z Oltuszykiem, ale Teodor, którego omija wystraszona Starość, trzymał się twardo i wyspał na wozy pół „kubika” ziemi więcej.

Kiedy żegnałem się z Oltuszykiem i z innymi uczestnikami czynu melioracyjnego, nie mogłem oprzeć się pokusie, aby suchą stopą przejść koryto kanału. Była to bowiem ostatnia okazja. Od strony Łózek napływała już woda.

Dzieci szkolne z Kwasówki, które przysły tu wraz z rodzicami pomagającymi sąsiadom, puściły na łyskłą falcę kilka papierowych okrętów. Za tą pierwszą dziecięcą flotyllą popłyną wkrótce prawdziwe holowniki i barki.

Tadeusz Frelek, Warszawa



Tędy popłynie woda



Paweł Nazarek, Bronisław Smożer i Jan Saweruk z Łózek mają razem 200 lat



Gospodarze z Zahajek pomagają drelowianom, by kanałem szybciej popłynęła woda

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

JESZCZE O OSWIETLENIU PUNKTOWYM POWIĘKSZALNIKA

Problem konstrukcji powiększalnika, a zwłaszcza jego oświetlenia, stanowi dość trudne zagadnienie techniczne. Ostatnio pisaliśmy o możliwości stosowania w aparacie do powiększeń żarówki samochodowej, przystosowanej do napięcia 6 volt. Żarówka taka umożliwia naświetlanie kilkakrotnie krótsze niż zazwyczaj używana żarówka miedziana 75 wat, w efekcie zyskujemy przy tym jednak tzw. oświetlenie punktowe, które daje powiększenia znacznie bardziej kontrastowe, wykrywa zarazem wszelkie zadrapania, ziarnistość i zanieczyszczenia negatywu. W zależności bowiem od źródła promieni światła — czy są rozproszone i sterowane przez kondensor, czy też padają z jednego punktu, występuje tzw. efekt Calliera — o którym obszerniej pisaliśmy już w Nr 46(121) „Światła”.

Użycie więc w powiększalniku światła punktowego, niskowoltazowych żarówek samochodowych czy też projekcyjnych, wymaga przestrzegania pewnych zasad konstrukcyjnych, które dodatkowo podajemy.

Przede wszystkim zastosowanie oświetlenia punktowego wymaga dokładnego ustawienia żarówki w pionie osi optycznej obiektywu i w ściśle określonej odległości od kondensora. Kondensor, jak każda soczewka, ma swoją ogniskową, która jest zależna od formatu negatywu i z reguły powinna być krótsza od ogniskowej obiektywu powiększalnika.

Jeżeli żarówka nie będzie znajdowała się na linii osi optycznej, na płaszczyźnie maskownicy ujrzymy plamę świetlną w kształcie kolorowego sierpa. Przesuwając odpowiednio na boki żarówkę, w kierunku odwrotnym do położenia plamy barwnej, ustawiamy żarówkę dokładnie pionowo.

Odległość od kondensora regulujemy przesuwając żarówkę odpowiednio w górę lub na dół. Jeżeli na maskownicy ukaże się krąg koloru niebieskiego — żarówka umieszczona jest za blisko kondensora, jeżeli zaś krąg świetlny ma zabarwienie czerwone — żarówka położona jest w stosunku do kondensora zbyt wysoko.

Zaznaczyć należy, iż przy oświetleniu punktowym, przysłanianie obiektywu powiększalnika nie ma znaczenia, gdyż promienie świetlne w tym wypadku przechodzą wyłącznie przez centrum optyczne obiektywu i przysłanianie jego bocznej płaszczyzny nie odgrywa żadnej roli.

Olbryzmia większość znajdujących się powszechnie w użyciu kondensorowych aparatów do powiększeń zbudowana jest wadliwie, gdyż żarówka umieszczona jest nie ruchomo, bez możliwości jej przesuwania po osi pionowej. A prawidłowe działanie powiększalnika wymaga odpowiedniego uregulowania odległości żarówki od kondensora w zależności od skali powiększenia — każdorazowo więc nastawienie powiększalnika na pewien format pozytywu pociąga za sobą konieczność przesunięcia żarówki w górę lub na dół. Daje się to łatwo wykonać przy powiększalnikach, w których żarówka osadzona jest na metalowym pręcie, przechodzącym przez szczyt kopuły powiększalnika i przykręcanym śrubą po przesunięciu.

Dla amatorów pragnących samemu skonstruować powiększalnik podajemy poniżej tabelkę zależności średnicy kondensora od formatu negatywu.

Negatyw	24 × 36	—	średn.	kondensora	50 — 55 mm
„	45 × 45	—	„	„	70 — 75 mm
„	45 × 60	—	„	„	80 — 90 mm
„	60 × 90	—	„	„	110 — 115 mm
„	65 × 90	—	„	„	115 — 120 mm
„	90 × 120	—	„	„	150 — 160 mm
„	130 × 180	—	„	„	220 — 230 mm



W. Marek, Lublin Akademia na 10-lecie UMCS

NOWE KSIĄŻKI

Mitchel Wilson — **ZYCIE WE MGLE** — przekł. z ang. B. Zielińskiego. Czytelnik 1954. Utalentowany fizyk osiąga swój cel życiowy: doktorat — kosztem wielu wyrzeczeń i trudności. W tym momencie zaczyna się konflikt sumienia: najbardziej pasjonuje go zagadnienie energii atomowej — i nad nim pragnie pracować, równocześnie jednak zdaje sobie sprawę, iż jego osiągnięcia posłużą celom zbrodniczym celom amerykańskiego kapitału...

Oto problem, wokół którego postępuje pisarz amerykański rozwija treść swojej książki. Wydarzenia w niej opisane rozgrywają się od lat trzydziestych naszego stulecia — aż po dzień dzisiejszy — i stanowią wspaniałą ilustrację stosunków panujących na uniwersytecie amerykańskim. Uczelnie amerykańskie uzależnione są od potrzeb i celów wielkiego kapitału, a na tle losów bohatera powieści — czytelnik poznaje środowisko naukowców USA, ich zmagania i porażki w walce o szlachetność celów, jakim winna służyć nauka. Opis laboratoriów i eksperymentów naukowych dowodzi wielkiego talentu pisarskiego autora, jest tak żywy i sugestywny, że porwają czytelnika, nawet niewiele znające się na tych zagadnieniach. Książkę poprzedza słowo wstępne naszego wybitnego uczonego prof. Infelda.

Arnold Zweig — **WYCHOWANIE POD VERDUN** — Czytelnik 1954. Tłum. Wanda Krageh. Jest to dalsza część z cyklu „Wielkiej wojny białych ludzi” (pierwszym ogniem jest **MŁODA KOBIETA Z ROKU 1914**). Odnajdujemy tu naszego znajomego z pierwszej części — szeregowca Bertina. Na jego przykładzie Zweig w mistrzowski sposób maluje rodzenie się świadomości zwykłego, uczciwego człowieka — oszukiwanego i gnębionego przez zabójczy pruski militarizm. Posłowie Romana Kałosa wyjaśnia wiele spraw, związanych z dziś już historycznym — zwłaszcza dla młodego czytelnika — okresem I wojny światowej.

W przygotowaniu znajdują się dalsze tomy cyklu: **SPÓR O SIERZANTA GRISZĘ** oraz **INTRONIZACJA**.

Marian Buczek — **Książka i Wiedza 1954**. W 15 rocznicę śmierci bohatera polskiej klasy robotniczej wznawiono zbiór szkiców i wspomnień o życiu i walce Buczka — piora jego współtowarzyszy, m. in.: A. Lampego, Aleksandra Zawadzkiego i Witolda Józwiaka. Marian Buczek — jeden z czołowych przywódców KPP, wieloletni więzień polityczny polskiej burżuazji — zginął w tragicznych dniach września broniąc Warszawy na czele garstki żołnierzy opuszczonej przez dowódców.

Julian Tuwim — **Z ROSYJSKIEGO** — PIW 1954. Wstęp S. Pollaka.

Mistrzostwo Tuwima w trudnej sztuce przekładu było nie mniejsze niż w jego twórczości oryginalnej, a przekłady dokonane przez poetę dorównują artyzmem — oryginalnością, z których zostały dokonane. Obszerny, 3-tomowy wybór przekładów z rosyjskiego, przygotowany jeszcze przez samego poetę — daje obraz olbrzymiego jego dorobku i w tej dziedzinie twórczości. Tom I rozpoczyna wybór utworów różnych poetów — od „Słowa o wyprawie Igora” — po przekłady z Majakowskiego i późniejsze. Następnie — na 200 stronach — przekłady z Puszkina, będące szczytem osiągnięć poetyckich Tuwima; zamykają je fragmenty nie skończonego niestety przekładu Eugeniusza Oniegina, a tom kończy się utworami Leimontowa.

Tom drugi — to Mikołaj Niekrasow: „Komu się na Rusi dobrze dzieje”. Przekład ten jest jednym z ostatnich dzieł poety...

Tom trzeci wreszcie — zawiera przekłady utworów dramatycznych i prozy — Gribojedowa, Gogoła, Leskowa, Korolenki.

Na końcu każdego tomu czytelnik znajdzie obszernie przypisy, informujące o autorach przełożonych utworów.

WZNOWIENIA POPULARNYCH KSIĄŻEK

Nakładem poszczególnych wydawnictw ukazały się na półkach księgarskich nowe wydania wyczerpanych, a popularnych utworów. Nasza Księgarnia wydała więc ulubioną przez młodzież książkę Mikołaja Ostrowskiego **JAK HARTOWAŁA SIĘ STAŁ** z ilustracjami Aleksandra Kobzeja oraz powieść Howarda Fasta **DROGA DO WOLNOSTCI**, której poprzedni nakład rozszedł się w rekordowym tempie; Państwowy Instytut Wydawniczy wznawia znakomite **OBRACHUNKI FREDROWSKIE** Boya. Przedmowę napisał Henryk Markiewicz; wyróżnioną Nagrodą Państwową powieść Mirosława Żuławskiego **RZEKA CZERWONA** oraz opowieść podróżniczą Centkiewicza pt. **WYSPA MGIEŁ I WICHRÓW** wznawia Czytelnik.

800 TYSIĘCY EGZEMPLARZY UTWORÓW ALEKSEGO TOŁSTOJA

Aleksy Tołstoj — **CHLEB** — MON 1954. Jest to już piąte wydanie tego dzieła, które zaliczyć można do najpopularniejszych książek w Polsce. Łącznie z ostatnim wydaniem — ukazała się ona w 353 tysiącach egzemplarzy. Spośród innych utworów Aleksiego Tołstoja — jego znakomita trylogia „Droga przez mek” — rozszła się w 112 tysiącach, a „Piotr i” — w 60 tysiącach egzemplarzy. W okresie 10-lecia Polski Ludowej książki Aleksiego Tołstoja osiągnęły łączny nakład blisko 800 tysięcy egzemplarzy.

NOWOŚCI WYDAWNICZE OSSOLINEUM

Spośród nowych pozycji wydanych przez Ossolineum zanotować należy m. in. tom: **POLSKA BIBLIOGRAFIA LITERACKA ZA ROK 1948** — zawierający bibliografię utworów literackich, dzieł historyczno-literackich i krytycznych, wydanych oddzielnie, bądź publikowanych w czasopiśmie polskich w 1948 roku.

Badaczy języka i dziejów kultury polskiej zainteresuje niewątpliwie wydany ostatnio również przez Ossolineum kolejny zeszyt **SŁOWNIKA STAROPOLSKIEGO**. Jest to część obliczonego na 5 tomów dzieła, które obejmie pełne słownictwo i frazeologię staropolską do roku 1500.

Z ostatnich wydawnictw Ossolineum wymienić należy również trzeci zeszyt **PAMIĘTNIKA LITERACKIEGO**, który zawiera rozprawy monograficzne z zakresu literatury polskiej, materiały dotyczące nowych odkryć z dziedziny tekstów literackich, oraz recenzje z najnowszych publikacji historyczno-literackich.

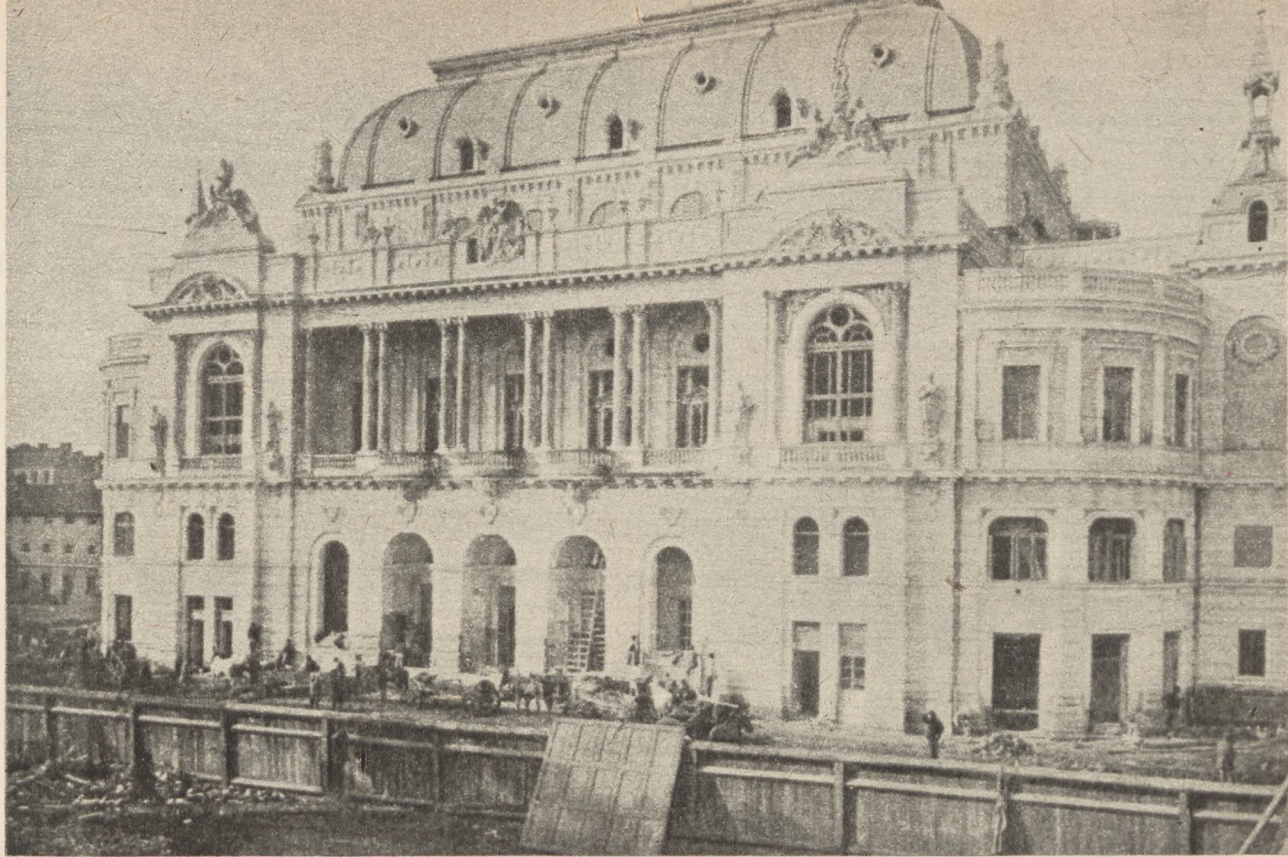
NOWOŚCI WYDAWNICZE „ISKIER”

Lew Wajsenberg — **MŁODSZA SIOSTRA**. 2-tomowa powieść radzieckiego pisarza mówi o dziejach młodej dziewczyny azerbejdżanki, córki stróża, która zostaje aktorką korzystając z ustroju sprawiedliwości społecznej z nieograniczonych możliwości rozwoju swoich zamiłowań i zdolności.

Hajota — **Z DALEKICH ŁADÓW**. Pod takim tytułem ukazał się zbiór barwnych opowiadań podróżniczych. Hajota — to pseudonim pisarza żony znanego polskiego podróżnika z drugiej połowy ubiegłego wieku — Stefana Szolc-Rogozińskiego.

Juliusz Fuczik — **ZDOBYCIE BIEGUNA PÓŁNOCNEGO**. Z dorobku pisarskiego narodowego bohatera Czechosłowacji udostępniono czytelnikom jego pasjonujący opis jednej z wypraw radzieckich na bieguna północny.

Howard Fast — **TOMEK I ZACZAROWANA FURTKA**. Adresatem książki Fasta jest tym razem najmłodszy czytelnik. Śliczną tę książkę dla dzieci zdobią artystyczne ilustracje Olgi Siemaszkowej.



WEDŁUG TEGO WZORU Z ROKU 1901 ODBUDOWUJEMY NASZĄ FILHARMONIĘ. BĘDZIE PIĘKNA!

PRZEDPOŁUDNIE W FILHARMONII

5-me Concours International de piano Frederic Chopin, Varsovie...

„5-th Chopin Piano Competition, 22-II — 22-III-1955...”

„V Międzynarodny Konkurs pianistów, Polska...” — głoszą różnorodne afisze, ale na wszystkich, na bordowym tle, ten sam profil Chopina.

Przechodnie na ul. Jasnej zadzierają wysoko głowy, przystają na chwilę, przypatrują się robotnikom układającym starannie złotawe płyty elewacji nowej warszawskiej Filharmonii, harmonizujące pięknie z elewacjami Pałacu Kultury. W tej nowej właśnie Filharmonii odbędzie się znany w całym świecie konkurs.

— No tak, z wierzchu wszystko w porządku, robota idzie aż miło — mówi głośno jakiś przechodzień, młody student. — Ale jak w środku?

Przekraczam szybko bramę z ostrzegawczą tabliczką: „Nie zatrudnionym wstęp wzbroniony”, by w imieniu licznych miłośników muzyki poszukać odpowiedzi na pytania: jaki jest stan robót przy wykończeniu wnętrza? Czy zdążą budowniczym do 22 lutego? A przede wszystkim: jak zaprezentuje się „od środka” nowa Filharmonia przedstawicielom 27 narodów — uczestnikom wielkiego konkursu?

Front Filharmonii, choć częściowo przesłonięty rusztowaniami, wskazuje, że główny projektant, prof. Eugeniusz Szparkowski, oparł się na wzorze dawnej, klasycystycznej Filharmonii Warszawskiej (1901 r.). Ogromnymi, kwadratowymi murami płynnie gorące powietrze osuszające budynek. Budowla jest jeszcze w tej chwili otoczona drewnianymi barakami. Z jednego z nich, mieszczącego Zarząd Inwestycji, wyruszą na dalszą wędrówkę już w towarzystwie inż. Czulińskiego.

Projekt wnętrza, również dzieło prof. Szparkowskiego, charakteryzuje się przejrzystym układem — mówi inż. Czuliński. — Wnętrze, podobnie jak i elewacje zewnętrzne, utrzymane będą w duchu klasycystycznym. A teraz wczuwając się w rolę słuchacza — przejdźmy kolejno pomieszczenia Filharmonii...

DROGA OD KASY DO KONCERTU...

— O, tu, od ul. Sienkiewicza, mieścić się będą kasy. Kilkanaście schodów prowadzi do przestronnej, wygodnej szatni o dwu długich ładach pod ścianami. Piętra się tu sterty płyt szkła piankowego, które izolować będą stropy sali kameralnej od hałasów głównej sali koncertowej. Sala kameralna, która wykończona zostanie w dalszym etapie robót, pomieści 600 osób. Posiadać będzie oddzielne wejście (od ul. Moniuszki), osobne kasy, szatnię, westybul itd.

Troje kryształowych, pięknie grawerowanych (art. plastyk Eugeniusz Pichell) drzwi wahadłowych, prowadzi nas z szatni do sali lustrzanej. Kończy się tu już układanie marmurowych posadzek. Na prawo i na lewo płynna linia szerokich schodów z różowego marmuru zachęca do wejścia na salę koncertową poprzedzoną przez trzy salony wypoczynkowe dla publiczności.

Pomieszczenia wypoczynkowe zaprojektowano zarówno na parterze jak i na balkonie. Składają się z salonu głównego i dwu salonów bocznych. W wysokim, przestronnym salonie głównym na parterze, zakończono już roboty sztukatorskie. W niszach staną tu popiersia Chopina i Moniuszki. Grzejniki otrzymają artystyczne, ceramiczne osłony wg projektu art. plastyka Eugeniusza Ptaszyńskiego. Troje drzwi prowadzi z salonu na salę koncertową, która w tej chwili stanowi jeszcze dżunglę stalowych rusztowań. Trwają bowiem prace przy wykańczaniu ozdobnych sztukaterii białego sufitu. Sypie się gips.

Inż. Czulińska wkłada chustkę na głowę, ja kaptur, krótka wspinać się po karkołomnych schodkach i za chwilę dołączam już ręką sufitu Filharmonii.

Sala koncertowa przedstawia z góry imponujący widok. Ściany jej ze względów estetycznych i akustycznych pokryte zostaną mahoniową boazerią. Wyższe partie ścian między filastrami pokryte zostaną różową tkaniną. Plafon potraktowany został malarsko, lecz dopiero konkurs rozstrzygnie czyja malatura zostanie zawieszona.

DLA MUZYKÓW...

Dla muzyków przyjemną będzie wiadomość o zapadnięciu dla dwu fortepianów, co zlikwiduje możność trud wtaczania instrumentu. Pomyślano też o łagodnym, górnym, krytym oświetleniu nad estradą, o pokojach dla dyrygentów, solistów, o salonie muzyków, łazienkach, szafkach do zmiany garderoby, składzie i windzie na instrumenty itd. itd.

Akustyka, która jest przywilejem tylko pewnych wymiarów sali — została zapewniona przez zachowanie proporcji dawnej Filharmonii. Celom akustyki a nie „kasy” służy np. malutka „laskółka” na 36 miejsc, pomyślana jako element chłoniący dźwięk.

...I DLA NIE-MUZYKÓW

— Wiele troski włożono — mówi inż. Czulińska — w wygodę 1036 słuchaczy. Wentylacja nawiewowo-wyciągowa, windy, bar kawowy w jednym z salonów...

— Świetnie. Nie zapomnę naturalnie opowiedzieć o tym Czytelnikom. Dodam także dla ścisłości, że budynek nie zostanie oddany 22 lutego całkowicie wykończony, gdyż tempo robót nie pozwoliłoby wówczas na precyzyjną obróbkę detali. W mokrym budynku byłyby narażone na wypaczenie cenne boazerie i tkaniny, zbyt szybko założone. Ale teraz na zakończenie prosiłbym o coś szczególnie atrakcyjnego...

— Hm, to chyba trzeba wspomnieć, że w Filharmonii radykalnie rozwiązana zostanie sprawa szatni. Szatnia posiadać będzie aż 40 m bieżących ław wobec np. 12 m w „Romie”!

Wychodzę przed gmach. Jest piękne słoneczne październikowe przedpołudnie. Od strony ul. Hiberna słychać hałasy. To wyburza się stare ruiny, by odstąpić widok na nową, warszawską Filharmonię.

R. LASSOTA

Godnie przyjmie odbudowana Filharmonia Warszawska Widok ruin tej ulubionej budowli warszawskiej (po

uczestników Konkursu Chopinowskiego w lutym 1955. lewej) znaleźć można już tylko w starym albumie...



NASZE SYMPOZJONY

Dokończenie ze str. 17

Byliśmy w sali „Domu Robotniczego“ prawie w komplecie. Myśleliśmy, że chyba już zdążył przełamać w sobie okresowy brak zainteresowania dla poezji, skoro tu przyszedł. Ale nie; twierdził, jak przedtem, że tego, co on robi, nikt inny z grupy nie zdoła żadną miarą dokonać, podczas gdy poezją mogą się zająć inni.

Po paru dniach Józek poprosił mnie w tajemnicy, żebym mu pożyczył od Rysi „Powrót na Powiśle“ Dobrowolskiego i „Wiersze Stepowe“ Śpiewaka, których pierwodruk znajdował się w starym numerze „Lewaru“. Coś go niepokoiło, coś w nim nurtowało. Jednakże i tym razem nie chciał słyszeć o żadnych sympozjonach.

Sytuacja stawała się w najwyższym stopniu niewyraźna i nieprzyjemna. Nie wiedzieliśmy właściwie z Rysią co robić. Ojciec Joli, który pracował w fabryce telefonów i pomagał Józekowi w jego poczynaniach radioamatorskich, był zdania, że Józek może „zapędzić w kozę róg niejednego ze świeżo upieczonych radiotechników“. Powtarzając te słowa Jola radziła nam, żebyśmy poczekali:

— Bo Józekowi trzeba tylko dać trochę czasu, a wtedy zobaczycie! — mówiła pełnym przekonania głosem, studząc nasze katońskie zamiary.

Nie wierzyłem, że zobaczymy. Wydawały mi się te wszystkie poczynania Józka, odciągające go od grupy, mrzonką i niepotrzebną stratą czasu. Postanowiliśmy jednak oboje z Rysią, że jeszcze trochę możemy poczekać... W tym niewyraźnym nastroju przeszły pierwsze dwa czy trzy zebrania grupy. Józek w dalszym ciągu służył nam lokalem; nie odrzekł się od jakiegos doświadczenia referatu, brał nawet udział w dyskusjach — i tylko rezygnował z sympozjonów. Z innymi członkami grupy, poza kilkoma, którzyśmy przywiązywali do sprawy sympozjonów szczególne znaczenie, pozostawał w najbardziej zażyłych stosunkach; i ci nawet na naszą urazę czy obrazę nie zwrócili uwagi. Stefan, któremu napomknąłem o nieporozumieniach z Józkiem, machnął z początku ręką; potem powiedział, że to rzecz mało ważna, jednakże, jeśli tylko wydaje nam się, że Józek złamał dyscyplinę organizacyjną, możemy wystąpić z zarzutami na jednym z najbliższych zebrań. (Tośmy już sami wiedzieli i ta jego rada nie wniosła do sprawy nic nowego)...

W połowie października, jak w latach ubiegłych, stała na porządku dziennym sprawa obchodu kolejnej rocznicy Rewolucji Październikowej. Ustaliliśmy po dłuższej dyskusji, że nasza akademія odbędzie się dokładnie dnia 7 listopada, a to kosztem kilku godzin lekcyjnych, które należało opuścić. Józek i Tadek poprosili na zebraniu grupy, ażeby im powierzyć wszelkie sprawy związane z organizacją naszej wewnętrznej akademii. Mrugnąłem porozumiewawczo w stronę Rysi: nie wypadło po prostu w takim momencie występować z zarzutami pod adresem Józka. Musieliśmy znowu poczekać.

— Słuchaj, 11 listopada o n i mają swoje święto, ale to jest data zakończenia wojny światowej. Może byśmy wykorzystali okazję i urządzili po południu jakiś antywojenny sympozjon — zaproponowałem przy okazji Józekowi.

Wzruszył milcząco ramionami i nie chciał ze mną o tym rozmawiać.

— Poczekaj jeszcze trochę. Jak on taki, to już my się do niego dobierzemy — zapowiedziała groźnie Rysia. — Jeszcze nas pozna...

Na tymczasem Józek i Tadek szepotali ze sobą tajemniczo po kątach, a Binem, jako nasz instruktor, i Stefan, orientujący się podobno w ich poczynaniach, zbywali nasze pytania co do programu akademii uspokajającymi słowami, że wszystko w porządku i żeby nas o to głowa nie bolała...

4.

7 listopada towarzyszył Binem wygłosił na akademii w domu Józka krótki referat o okolicznościach, a na zakończenie akademii Tadek zadeklamował po rosyjsku dłuższy fragment z poematu Majakowskiego o Leninie. Zaś w międzyczasie spojrzeliśmy wszyscy na Józka, jak na cudotwórcę:

Przecież dzięki niemu nasza grupa uzyskała możliwość uczestniczenia w defiladzie na Placu Czerwonym w Moskwie: dzięki niemu usłyszeliśmy głos Stalina... Wtedy aparat Józka nie zawiódł ani na ułamek minuty.

I przestaliśmy żałować, że Józek nie uczestniczył w naszych sympozjonach u Rysi, że się od nich „wymigał“. Tylko najlepsze aparaty odbierały wtedy w ciągu dnia falę Moskwy.

ANDRZEJ PIWOWARCZYK

*) Z książki pt. „Pamiętnik przyjaciół“, która ukaże się w wyd. „Iskry“.

SWIAT

o tym wie!

ZBRODNIARZOWI — HONORY OFICJALNE



Jeden z czołowych palatynów Adolfa Hitlera, feldmarszałek Gerd v. Rundstedt, krwawo zapisał się w pamięci Polaków, Francuzów i Rosjan. Po wojnie dostał się on do niewoli brytyjskiej, gdzie skazano go na długoletnie więzienie jako

zbrodniarza wojennego, którego bezwzględność tak była znana, iż w pamięci własnych współziomków zdobył on sobie miano „ostatniego Prusaka“.

W roku 1949 Rundstedt, tak jak i wielu innych zbrodniarzy, został zwolniony. Po czterech latach zmarł w Hanowerze. Obecnie zaś, w rok po zgonie, adenauerowskie władze udekorowały grób „ostatniego Prusaka“ pięknymi wieńcami i uświetliły przy nim oficjalną wartę honorową oficerów zachodnio-niemieckiego „Grenzschutzu“.

Tak się gloryfikuje hitleryzm w Niemczech zachodnich.



OBJAWIENIE W BROKATOWYM SZLAFROKU

Przewielebny James Jones, bardziej znany jako „prorok Jones“, wyjechał z New Yorku, gdzie przemawiał w wielkiej sali Carnegie Hall, zapowiadając nowojorczanom nadejście dnia — za 46 lat — kiedy nie będzie śmierci ani podatków. Jednocześnie, dla dodania sobie popularności w kołach rządowych, „prorok“ ostrzegł, że w Nowym Jorku grasuje „straszną szajka

szpiegowska“. Obecnie „prorok Jones“ udaje się do Detroit w oczekiwaniu nowych „objawień z nieba“.

„Prorok“ twierdzi, że liczy w Ameryce 6 milionów wyznawców, którzy — w uznaniu proroczych zasług — nadsyłają mu cenne dary. Większość darów stanowią klejnoty: pierścienie, bransoletki, brylantowe guziki, kolczyki. Wszystko to prorok przywdziewa wspinał się płaszcz z nurek podbity szkarłatem. W podróż zawsze zabiera z sobą 400 ubrań, 30 brokatowych szlafroków zdobnych w rubiny i szmaragdy oraz piękny przenośny tron obity drogimi kamieniami. Orszak „proroka“ składa się z 80 osób, w tej liczbie jest 3 lokaj, 5 szoferów, 4 strażników, 3 sekretarki, kucharz i dietetyczka, dwóch organistów, pianista i chór mieszany. Wszystko to, razem z prorokiem, podróżuje pięcioma samochodami najwyższej klasy: kremowy Cadillac, biały Buick, zapasowy Buick, perła całej ekipy — zielony Lincoln (najdroższa marka w Ameryce) i bagażowy Chevrolet. Przewielebny ma własną piękną świątynię w Detroit i okazują plebanie.



PLODY EDUKACJI

DAILY NEWS, MONDAY,

Whisky Kid Got Fire Idea Out of Comic

Chicago, June 13 (U.P.).—An 11-year-old boy who smokes a pack of cigarettes a day and drinks 100-proof whisky said today he decided to set the tenement fire which killed seven persons and injured nine after reading a comic book called „The Human Torch.“

Dziennik amerykański „Daily News“ doniósł o pewnym wypadku charakterystycznym dla istniejących w USA stosunków. Działo się to w Chicago. W pewnym bloku mieszkalnym tego miasta wybuchł pożar. Spowodował on śmierć 7 osób. 9 osób zostało rannych. Około 50 lokatorów uratowało się skacząc z okien płonącego budynku.

Przypadek? Czyjaś lekomyślność? Bynajmniej. Pożar spowodował 11-letni chłopiec (patrz zdjęcie) w sposób prawdziwie „naukowy“ podpalając dom w kilku miejscach, tak, iż ogień odciał mieszkańców drogę odwrotu. Podpalacz od dłuższego

czasu zapowiadał się „nieźle“, gdyż mimo młodego wieku pił stale whisky i wypalał dziennie paczkę papierosów. Skąd jednak pomysł podpalenia? Też bardzo proste: zachwyciła go (jak sam przyznał) przeczytana niedawno barwna książeczka komiksowa, nosząca tytuł „Ludzkie pochodnie“.

Nauka nie poszła w las.



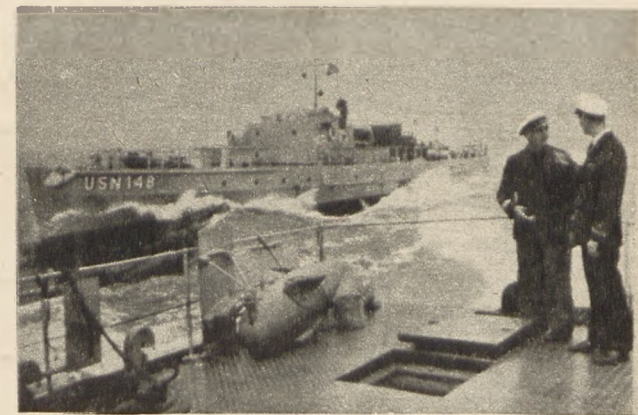
Zarówno fotografię, jak informacje czerpiemy z prasy nowojorskiej.

I pomyśleć, że takich proroków grasuje w Ameryce wielu!

POCZĄTKI NOWEJ „KRIEGSMARINE“

Napis USN oznacza amerykańską marynarkę wojenną. (U.S. Navy): Niech Was to jednak nie zmyli. Okręty, widoczne na zdjęciu, nie są bynajmniej, jakby się wydawało, amerykańskie. Jak pisze tygodnik angielski „The Sphere“ są to właściwie okręty... zachodnio-niemieckie. Posiadają one prawie wyłącznie załogę niemiecką, składającą się z żołnierzy i oficerów hitlerowskiej marynarki. Załogi szkolone są przez kilku amerykańskich wyższych oficerów. W ten sposób — jak pisze londyński tygodnik — powstaje załazek nowej adenauerowskiej „Kriegsmarine“, której obsada zgodnie z londyńskimi „porozumieniami“ liczyć ma około 20 tysięcy ludzi.

Odbudowując Wehrmacht i kładąc podwaliny pod nową „Luftwaffe“ Anglo-Amerykanie nie zapominają bynajmniej o odbudowie trzeciego ogniwa hitlerowskiej maszyny wojennej.





Szukam Fredry. Nie, nie dziel zbiorowch. Autora. No, nie bądźmy przesadni, nie musi być zaraz Aleksander hrabia, może być jakiś pomniejszy współczesny. Chodzi mianowicie o to, że jest do napisania jedna „zemsta“. Tak, autentyczna. Dla zachęty nadmieniam, że Milczka już mam. Nie jest co prawda Rejentem, tylko pracuje na poczcie. Tak. W Stołecznej Dyrekcji Poczty. Sciśleć w wydziele budowlanym. Takiemu Milczka (w dosłownym tego nazwiska znaczeniu) jeszcześmy nie widzieli. Opaliński może się schować.

Raptusiewicz też jest. I to co za Raptusiewicz! O głowę wyższy od Kurnakowicza. Tyle, że kobieta. Nie może być? Przepraszam, a gdzie jest powiedziane, że jak raz Raptusiewicz był mężczyzną, to drugi raz nie może być kobietą? Zresztą może czy nie może — cześć gadanie. Jest i basta. Pracuje w „Świecie“. Takie nowe wcielenie Cześnika. I to jakie wcielenie! Pulchniutki, miłutki i ładny... (słowo Syrenki, że warcie autora).

Spór nie jest o mur graniczny, ale o schodek. Ostatecznie przez tyle lat mógł się ten mur zaważyć. Tak czy owak chodzi o schodek. O schodek i o wycieraczkę.

Miejsce akcji? Urząd pocztowy Warszawa 37. Na Ordynackiej. Tak. Zaraz przy Nowym Świecie. Czas akcji? Codziennie. Kilkadziesiąt razy dziennie. I to od 18 maja, kiedy ów urząd. Nr 37 otwarto.

Sama akcja ma charakter bardzo obrazowy i gdyby to było w kinie, można by powiedzieć, że nawet śmieszny.

Obywatel(ka) wchodzi do urzędu, zwraca wzrok w lewo, gdzie mieści się sala z okienkami i... potyka się o schodek, który najwidoczniej dla kawału (innego celu trudno dociec) umieszczono tuż przed wejściem do sali. W zależności od wieku, kondycji, stopnia rozłargnienia, zdolności utrzymania równowagi itp. okoliczności, delikwent przewraca się lub tylko zabawnie balansuje, nabija guza albo tylko siniaka, ale w każdym wypadku obowiązkowo klnie.

Naczelnik urzędu, człek sprawiedliwy, widząc co się dzieje, jeszcze w sierpniu napisał do wydziału budowlanego Stołecznej Dyrekcji Poczty obszernie pismo w sprawie usunięcia fatalnego schodka. A tymczasem, żeby sobie ludziska łbów nie rozbijali, umieścił przed schodkiem dużą i ciężką wycieraczkę, która miała zwracać uwagę p.t. publiczności, że w tym miejscu... coś jest!

Jednakowoż wycieraczka nie spełniła pokładanych w niej nadziei. Jak się to mówi — wprost odwrotnie. Zamiast potykać się od razu o schodek, p. t. publiczność zaczęła potykać się najpierw o wycieraczkę, a następnie o schodek. Efekt taki, że kto silniejszy w nogach spycha wycieraczkę na bok, co... jeszcze bardziej ułatwia potykanie. Tu dochodzimy do sedna naszej nowej „zemsty“.

Pewnego dnia Raptusiewicz przyszedł nadebrać list polecony. Śladem swych liczących poprzedników potknął się o wycieraczkę. Ledwo złapał równowagę, a już zawadził zgrabną nóżką o nieszczęsny schodek. Padając runął całym ciężarem (jest tam tych parę kilo) na szklane drzwi i...

Dziura w drzwiach i dziura w białym, krągłym ramieniu. Jedną z nich złana krwιά, która — tłumaczyć nie trzeba.

— O zemsto! Zapłacicie wy mi za złamane ramię i podarte nylony! — grzmi Raptusiewicz.

— Zwrócisz ty mi za złuszczone szyby — lamentuje naczelnik urzędu i czym prędzej wysłał drugie pismo do Milczka.

Ala w sporze o schodek graniczny i wycieraczkę Milczek dalej milczy jak zaklęty.

Szukam Fredry. Ale zanim go znajdzie, radzę naczelnikowi urzędu nr 37 usunąć na własną rękę feralny schodek, a rachunek przesłać do zapłacenia Milczkowi. Gwarantuję, że wtedy na pewno się odezwie!



Od i do Czytelników

List z Morza Północnego

Tak jak zwykle po załadunku tarcicy w Gdańsku wypłynęliśmy „Gopiem“ dnia 2.X. br. w ostatni eksploatacyjny rejs do Hullu i Kopenhagi. Baltyk i Kanał Kiloński minęliśmy pod znakiem pięknej pogody, tylko kpt. Jasicki przed i w samym Kanale dowiadywał się u „Radlego“ o pogodę na Morzu Północnym. Odpowiedź brzmiała lakonicznie: „Wiatr southwest siła 3-4“, tzn. normalna. Odpowiedź nie była zadowalająca i kpt. polecił I ofic. Biadała, by załoga wzmacniła dodatkowym laszowaniem deklast (ładunek pokładowy) i praca ta została wykonana.

Przy takim stanie pogody wyszliśmy na Morze Północne i przywzięliśmy dobę. Jeszcze rano 6.X. br. pogoda była znośna. O godz. 11,30 przed południem wiatr gwałtownie zmienił kierunek na northwest i siła jego wzrosła do 8 st. skali Beauforta. Chmurne już niebo wyglądało jeszcze posępnie, dmący wiatr w oczach zmieniał morze w „piękny“ groźny żywioł. Radiostacje nabrały ostrzeżenia statki o nadchodzącym sztormie w siłę 12 st. sk. B. z kierunku northwest. Zbębne już nam były ostrzeżenia, gdyż znajdowaliśmy się na środku Morza Północnego, a rosnące grzywaczce fal i białe smugi piany na wodzie oraz przechyły statku wskazywały na to, że nas i naszego „staryszka“ „Gopio“ czeka nie lada przejsię. Prawdziwe piekło rozpoczęło się na wachcie 20-24.

Z olbrzymią siłą i wściekłością kilkudziesięciotonowe zwaloty wody uderzały o statek wpadając na pokład, chcąc go pozgrzebać w swej otchłani. O godz. 23,10 olbrzymia góra wody runęła na śródokręcie, zalała kabinę sterową, zlamala lewe skrzydło mostku, wyrwała szalupę ratunkową, wdarła się przez gretingi do kotłowni, połamała relingi i bębny z linami na dziobie. Druga po niej nadchodząca wylamala kilka sztyc, powodując częściowe przesunięcie się ładunku, zerwała ciąg sterowy, zalała kabiny rufowe, powodując spiekanie instalacji elektrycznych i ciemności na pomieszczeniach. Teraz sytuacja przedstawiała się naprawdę groźnie, statek stracił sterowność, nie mogliśmy sztormować, zostaliśmy zdani na łaskę żywiołu, stojąc bokiem do zalewającej fali. O naprawie nocą steru nie było mowy, bo ciemność, boczne przechyły, wdzierająca się fala, bryzgi wody niesione przez wiatr uniemożliwiały pracę, grożąc zmyciem ludzi za burtę. Dwukrotne próby naprawy świateł rufowych przez I mech. Ludwiczaka skończyły się niepowodzeniem. I tak zamiast iść kursem na Anglię, znosilo nas na Norwegię, a później Danię, wzdłuż pół minowych rozsiąnych w południowej części Morza Północnego. Tylko 14 godzin — 14 godzin długich jak wiek. Statek zalewany falą trzeszczał, trząsł się w konwulsjach, wyrażając tym niemą prośbę o zmianę pogody. Wtedy to w nasze serca wkraść się niepokój — lecz nie było paniki, każdy odczuł początek zbliżającego się końca i czekał sprężony w sobie.

W najgorszej sytuacji byli członkowie załogi, mieszkający na rufie, zalani po kłamki u drzwi wody. Panujące ciemności uniemożliwiały orientację. Postanowili jednak przedrzeć się na śródokręcie. Przedzierali się trzymając liny sztormowej i pełzli na czworakach. I już prawie po niebezpieczeństwie, bo na śródokręciu, przy silnym przechyle statku, z-ca kpt. Gili byłby wyleciał za burtę, lecz nadlatująca fala rzuciła nim o pokład i skończyło się rozbiciem głowy. Na mostku I ofic. Biadała i III ofic. Karnas wraz z marynarzami wachtowymi st. mar. Kotarbą i Gnoińskim miotając przechyłami znajdowali się w różnych komicznych a niebezpiecznych dla nich pozach. W maszynie i kotłowni sytuacja przedstawiała się nie lepiej. Fala dostawała się przez zerwane wentylatory, skajlały maszynowe i kotłowe, oraz zerwane pokrywy bunkrowe, tak że pompy zenzow pracowały bez przerwy. St. mech. Ludwiczak stał na dolnych gretingach czuwając nad całością maszyny i razem z pełniącym służbę AS mech. Knapikiem, który „tańczył“ po maszynie, zalewani byli wodą. W kotłowni palacz Wojas i Kurzajewski, ciągle przewracani, zmoczeni, umorusani popiołem węglowym, pełnili obowiązki służbowe utrzymując właściwe ciśnienie pary. Pełnili wachtę na radiostacji, gdy wszedł kpt. I spytał — „co słyszeć Druż?“ — pytanie, które tak często złośli przy powitaniu, tym razem pytało o prawdę rzeczystwo. — Siedem korespondencji S.O.S. rozlegało się wokół, z tego cztery statki utonęły, trzy proszą o pomoc — odpowiedziałem.

Trudno, nie nie poradziły — odpowiedział kpt. Jasicki, który swą postawą, spokojem, a czasem żartobliwym słowem, zdawało się zmniejszać groźbę sytuacji, udzielając tym samym spokoju innym. Zmieniały się wachty, II ofic. Jagliello z marynarzami Runowskim i Stawarszem, w maszynie III mech. Radziwiński z palaczami Włodarczykiem i Jasińskim i w takim piekle trwaliśmy do rana. Rano wiatr skręcił kark i fala stopniowo malała. Cała załoga nie wyłączała oficerów zaczęła naprawiać ciąg sterowy, po którego zreperowaniu położyliśmy się na właściwy kurs, bo zepchnięto nas o 25 mil z powrotem na Danię. Dopiero przy śniadaniu po minionym sztormie kpt. oświadczył załozdę, że sytuacja była groźna i tylko dzięki temu, że płynęliśmy północnym przejsiem, wynieśliśmy z sztormu życie i uratowaliśmy cały cenny ładunek, w przeciwnym razie podzielilibyśmy los czterech innych statków, które zepchnięte na mieliznę zlamaly się. Również i tutaj nam to groziło, bo gdyby deklast dziobowy został zmyty, wówczas rufa poszłaby pod wodę, fala zalałaby do reszty pomieszczenia rufowe, stawiając statek dziobem do góry, co mogłoby spowodować złamanie się w połowie.

Jeszcze przez cały dzień trwaliśmy pod wrażeniem sztormu i panująca cisza niemiłe raziła przyzwyczajone już do ryku morza uszy, a radiostacje nabrały zawiadomienia, że 3 kutry rybackie zginęły bez śladu, których poszukiwały samoloty i specjalne statki ratownicze. Idąc kontrakursem statki, widząc nasze zniszczenia podpyływały bliżej zapytując, czy nie potrzebujemy pomocy, a załogi ich wznosząc i zaskakując ręce nad głową pozdrawiały nas, wyrażając tym podziw i uznanie za odniesionego zwycięstwa. Wreszcie ujrzeliśmy ląd i za kilka godzin staliśmy przy kci w Hullu, gdzie znów mieszkańcy tego miasta oglądali statek i robili zdjęcia zniszczeń. W drugim dniu postoju załoga, w ramach samoremontów i zobowiązań długofalowych o gotowości statku do eksploatacji, zaczęła usuwać zniszczenia, przygotowując statek do następnego rejsu z Hullu do Kopenhagi.

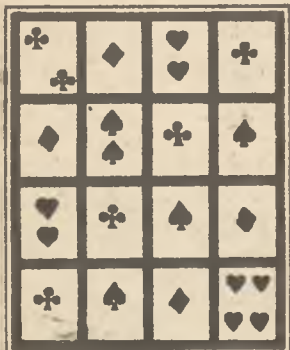
WIKTOR FOLTYN, radio-oficer

s/s „Gopio“

P. Z. M. Szczecin

ROZRYWKI UMYSŁOWE

MAGICZNY KWADRAT



Poszczególne karty zastąpić literami wchodzącymi w skład wizytówki M. BRULAK w ten sposób, aby powstał kwadrat magiczny, w którym wyrazy dędzą się czytać jednakowo poziomo i pionowo.

(„Anka“ — Słupsk)

Termin nadsyłania rozwiązań — 10-dniowy. Do rozlosowania — dwadzieścia nagród książkowych.

ANECDOTY

DOBRY INFORMATOR

Rudyard Kipling, autor „Księgi Dżungli“, był w młodości zapalencem zdolnym do wszelkich kawałów.

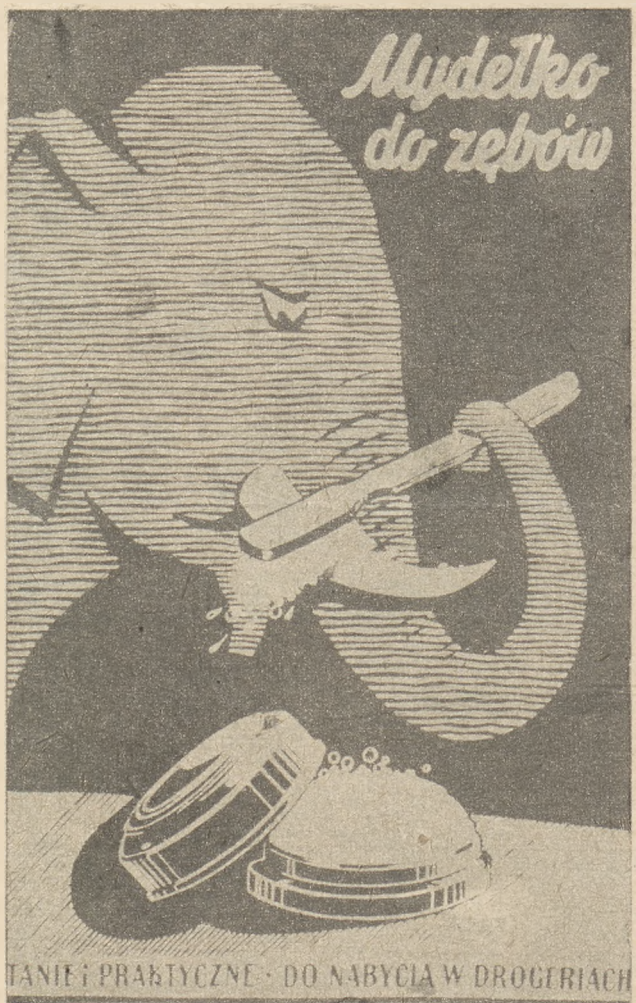
Chociaż był jeszcze nieznanym, młodym poetą, odwiedzało go już mnóstwo ludzi, którzy chcieli go ujrzeć i otrzymać autograf. Kipling bawiło to bardzo, lubił też żartować ze swymi gośćmi i pisać na różne figle.

Najzabawniejsze były skutki wizyty pewnej aktorki paryskiej, która odwiedziwszy Kiplinga w jego londyńskim mieszkaniu, prosiła, aby zechciał pokazać jej Londyn i jego zabytki, zapewniając, że o swej wizycie w Londynie napisze książkę.

Kipling przystąpił do dzie-

ła. Pokazał jej gmach opery, objaśniając, że jest to wieżowiec. Wielki ratusz określił jako „największy zakład dla wariatów w Europie“. W tym tonie informował Francuzkę dalej. Dał jej też wszystkie niezbędne fotografie owych gmachów, na których Francuzka notowała jego informację.

W kilka miesięcy później otrzymał przesyłkę pocztową, zawierającą olbrzymie dzieło, w którym Londyn był opisany na podstawie informacji, udzielonych przez Kiplinga. Był to jeden z najzabawniejszych dni w życiu Kiplinga: przeglądał dzieło swego humoru, pokładając się ze śmiechu.



SZACHY

PARTIA NR 131

grana w zakończonym ostatecznie międzynarodowym turnieju w Belggradzie.

Białe: Bronstejn (ZSRR)
Czarne: Janoszewic (Jugosławia)

1. d2-d4 Sg8-f6 2. Sg1-f3 e7-e6 3. Gc1-g5 h7-h6 4. Gg5-h4 c7-c5 5. e2-e3 d7-d5.

Niekonsekwentne, bowiem uniemożliwia czarnym wykorzystanie debiutowej lekomyślności białych (3. Gg5). Słuszniejsze byłoby tu 5... Hb6.

6. Sb1-d2 Sb8-d7 7. c2-c3 Gf8-e7 8. Gf1-d3 0-0 9. Sf3-e5! Sd7-e5 10. d4:e5 Sf6-d7 11. Gh4-g3! f7-f6.

Słabsze byłoby 11... G74 12. Hh5 G:g3 13. h:g Hg5 14. Sf3 H:h5 15. Wh5 z pozycyjną przewagą białych.

12. e5:f6 Ge7-f6 13. Hd1-h5 Hd8-b6.

Kontratak czarnych na pionu b2 jest już spóźniony. Lepsze szanse dawało 13... He8 14. H:e8 W:e8 15. Gg6 Wd8.

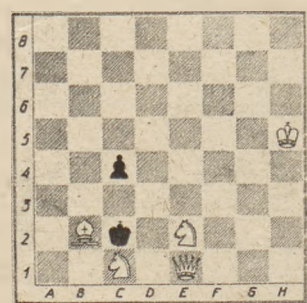
14. Wa1-b1 c5-c4 15. Gd3-c2 Sd7-c5 16. 0-0 Gc8-d7

17. Hh5-g6 Gd7-e8 18. Hg6-h7+ Kg8-f7 19. b2-b3!!

To nieoczekiwane uderzenie kruszy cały system obronny czarnych. Posunięcie białych 14. Wb1 przygotowaniem tego ruchu.

19... c4:b3 20. Sd2:b3 Sc5-e4 21. Gc2:e4 d5:e4 22. Sb3-d4 Hb6-a6 23. Hh7:e4 i czarne poddały się, gdyż nie mogą uniknąć straty drugiego pionu ani zatrzymać ataku białych.

ZADANIE POZAKONKURSOWE LADISŁAW KNOTEK



Mat w 3 posunięciach



TYGODNIK ILUSTROWANY

Redaguje komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA“

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefon: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmują Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch“ Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerolimskie 119, tel. 805-05.

Zakłady Wkłóśnodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa“ Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. nr 646. Papier rotogr. V/80-82 cm — 5-B-20603 podpisano do druku 17.11.54 r.



(Grypa. Leżę. Moje córki wychodzą po zakupy na targ. Daje to okazję do gorącej wymiany zdań, która może zainteresować wiele kobiet. Z tych powodów przebieg sporu podaję do wiadomości publicznej

A.Z.)

Alina: Jesteś gotowa?

Franka: Już, już. Tylko wciążę spodnie.

Alina: Zwariowałaś? Ja nie wyjdę z tobą na ulicę w spodniach.

Franka: Słusznie, że ty nie wyjdiesz, bo ja wyjdę w spodniach.

Alina: Przestań. Nie myślę robić z siebie pośmiewiska, żeby się wszyscy za nami oglądali. Uprzedzam cię, że jeżeli się up-

rzesz — idę sama na-
przód.

Franka: Znakomicie.

- A ja z tyłu za tobą i będę cię zaczepiała.

Alina: Słuchaj, jestem starsza i wiesz, że

Spódy & SPODNI

mam więcej doświadczenia. Kobieta w spodniach wygląda jak dziwola. Nienawidzę zwracania na siebie uwagi.

Franka: Spodnie powinny być dla ciebie zagadnieniem WYGODY, a nie mody. Jest zimno, nie chce mi się wciągać paska i pończoch, chcę włożyć skarpetki, półbuty i spodnie. Może być, że ubiór ten nie odpowiada twoim estetycznym gustom, ale odpowiada memu zdrowemu rozsądkowi.

Alina: Nie protestuję, gdy chodzisz sobie w portkach po domu. Zgadza się, że to wygodnie. Dobre przy sprzątaniu, szorowaniu i tak dalej... Ale na ulicę? To nie jest u nas zwyczajem. Nienawidzę ekstrawagancji, zwłaszcza, gdy jest tak „niekobieca“.

Franka: Tere, fere... Niekobieca! Wszystkie moje koleżanki z boiska noszą wszędzie gdzie można i w życiu nie słyszały, że są niekobiecy! Ich rekordy notują na tabeli kobiecych wyników, zapewniam cię!

Alina: Franka! Zastanów się, co byłoby, gdyby wszystkie kobiety, zgrabne czy nie, uległy twoim są-

dom i zaczęły paradować w spodniach... Cóż to byłby za widok!

Franka: A cóż to jest za widok, gdy w spodniach paradują tysiące brzuchatych i grubych mężczyzn? I nawet tego nie uważasz! To wszystko kwestia przyzwyczajenia w patrzeniu! Ale dla swoich bzdurestycznych chęci poświęcić WYGODĘ kobiet! Bo pomyśl: tysiące pracują w fabrykach i biurach; martwią się, że w tramwajach drą pończochy, zaziębają się często, bo są zbyt lekko ubrane od spodu... Spodnie gwarantują im wygodę i ciepło!

Alina: Nie zgadzam się. Nie poświęcę tego, co ładne, dla tego, co wygodne. Trudno. Tego by jeszcze brakowało, żebyś na piątkowy koncert do Filharmonii poszła ze mną w spodniach!

Franka: A — to nie! Mam poczucie taktu, jestem przecież siostrą osoby taktownej. Pójdę w najbardziej pajęczych pończochach, o ile oczywiście pożyczysz mi swoich, bo moje jeszcze nie zreperowane po ostatniej „tramwajowej wycieczce“ na mecz piłki nożnej...

...A co o tej rozmowie myślą nasze Czytelniczki? Zanim powiem, co ja o niej myślę, chciałabym znać opinie przynajmniej niektórych z Was. Napiszcie!

Annie Ziolkowa



CZEGO CHCEMY OD PRZEMYSŁU?



Łasek-wózekków na zakupy. Nie chcemy niepotrzebnie nadwierać mięśni rąk dźwigając paczki!



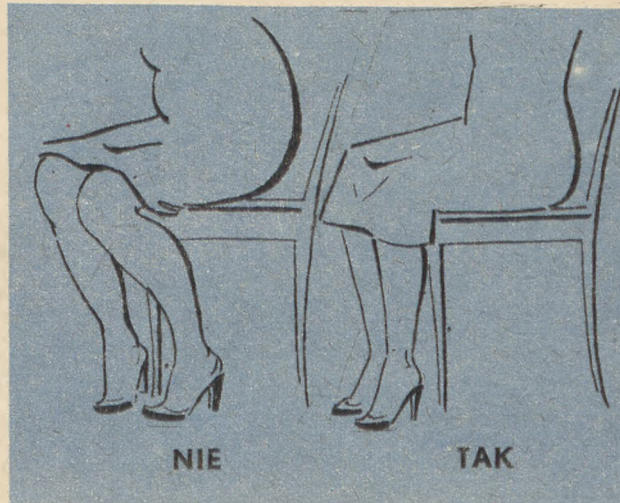
Pamiętaj, że...

należy zawsze dobierać krój ubrania do możliwości życiowych. „Wedle stawu grobla“ mawiali nasi dziadkowie. A znaczy to (popatrz na model kostiumu — sukni Nr 1): jeżeli robisz sobie kostium i jeżeli jest to jedyny Twój kostium, wybierz fason jak najbardziej gładki, by Ci służył na wszystkie okazje, a nie rób takiego, jaki tu pokazuje-

my, bo ci OBRZYDNIE w krótkim czasie. Rzeczy bardzo oryginalne są wtedy dobre, jeżeli mamy zwykłe na zmianę.

PAMIĘTAJ, ŻE:

pod żadnym pozorem nie wolno ci przerabiać na siebie spodni męża! Krój spodni męskich jest katastrofalny dla kobiecej figury. Twoje spodnie muszą być specjalnie dla ciebie KROJONE!



Z TEKI HENRYKA GRUNWALDA



DWA POKOLENIA



CHULIGAN

HISTORIA, JAKICH WIELE... (dobra żoneczka i premia)

Rys. JERZY ZARUBA



— Skoro dostałeś tę premię, poświęć się i pójdziemy kupić ci nowy garnitur!



— Wstąpimy tu na chwilę, przymierzę ten kapelusik...



— Ciekawam, czy w tych pantoflach będzie mi do twarzy?



— Ach, co za śliczny sweterek, marzyłam właśnie o takim...



— Ciekawam, czy te spodnie są dla mnie twarzowe?



— Co? Wydaliśmy już całą forszę, nie starczyło na garnitur. To nie — ty mi się i tak podobasz!